# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

**Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi:** Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

**Zmiana adresu kosztuje 40 hal.**

**Ceny ogłoszeń:** za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

**Wychodzi każdej soboty.**

**REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)**

**Telefon Nr. 479.**

**Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

**Rok XIV.** **Kraków, 1. września 1917.** **Nr. 35.**


# Wkroczenie „dzieci krakowskich" do Czerniowiec.



Obóz wojsk austro-węgierskich pod Czerniowcami obok zburzonego przez Rosyan mostu kolejowego. (Fot. „Bu'a".)

## Wkroczenie „dzieci krakowskich" do Czerniowiec.

W obecnej ofenzywie na wschodnim froncie zdobył nowe laury trzynasty pułk „krakowskich dzieci". Nadwórna, Kołomyja, Zabłotów, Sniatyn i wreszcie Czerniowce — oto szlak zwycięskiego ich pochodu.

Wkroczenie „trzynastaków" do Czerniowiec jeden z korespondentów tak opisuje:

Rano dnia 29 lipca stał 13 pułk piechoty już



**Dymisya Rady Stanu:** Ks. arcybiskup Kakowski, desygnowany przez ustępującą Radę Stanu na członka Rady Regencyjnej.



**Wkroczenie „dzieci krakowskich" do Czerniowiec:** Manifestacyjne powitanie zwycięzców przed ratuszem czerniowieckim. (Fot. „Bufa".)

na ziemi bukowińskiej, przechodząc wbród wśród ulewnego deszczu, w ogniu artyleryi rosyjskiej, po pas Czeremosz.

Dnia 2 sierpnia trzymali się jeszcze Moskale na wzgórzach koło Hlinicy-Droczyńca. Atak flankowy sąsiednich brygad zmusił ich jednak jeszcze za dnia do odwrotu. W pierwszych godzinach popołudniowych rozpoczął się pościg.

Kompania piąta otrzymała rozkaz pościgu. Gwałtownym marszem posuwały się plutony 5 kompanii w walce z kozackimi patrolami poprzez gęsty las, ostrzeliwane całą drogę przez artyleryę rosyjską, którą obsługiwali oficerowie francuscy. Pościg szedł błyskawicznie.

O godzinie wpół do drugiej nad ranem wkroczyła do Czerniowiec, jako pierwsza, patrol oficerska 5 kompanii 13 pułku. Miasto pogrążone było jeszcze w ciemnościach — na ulicy żywej duszy — wszystko trwożnie pochowane po domach w obawie przed rabującym i palącym bezmyślnie sołdatem rosyjskim. Nieśmiało poczęły się okna otwierać, sądzono, że to ostatnie przechodzą oddziały rosyjskie, ale skoro mieszkańcy poznali, że to ich oswobodziciele — trudno poprostu opisać rozgrywające się sceny. Nie bacząc na uganiającą się jeszcze po bocznych ulicach kawaleryę rosyjską — na ostrzeliwujące się z 13 pułkiem patrole piechoty — zbierały się olbrzymie tłumy ludności, podnosząc niemilknący okrzyk radości.

Obrzucano żołnierzy kwiatami, całowano, obnoszono na rękach. Łzy cisnęły się nam do oczu — nie żałowaliśmy w tej chwili naszych trudów i cierpień, widząc po radosnych łzach tych biednych ludzi, co wycierpieli.

Dochodziliśmy do głównego rynku.

Wśród palących się domów powitał nas, płacząc, sędziwy kapłan, jako burmistrz miasta, dziękując Bogu, że pozwolił mu dożyć jeszcze tak pięknej chwili.

Gdy mieszkańcy dowiedzieli się, że ich oswobodzicielami są „Trzynastacy", którzy w roku 1916 w krwawych i zażartych walkach do ostatka Czerniowiec bronili i jako ostatni z nich ustąpili — wówczas owacye nie miały granic.

## Dymisya Rady Stanu.

Przesilenie legionowe w Królestwie Polskiem weszło w nowe, jeszcze krytyczniejsze stadyum. Zaszedł mianowicie fakt, będący, jak zaznaczają zgodnie pisma codzienne, stanowczem zachwianiem aktu z 5 listopada, na mocy którego proklamowana została niepodległość Polski.

W dniu 25 bm. pojawił się rozkaz, mocą którego zostaje z wojska polskiego wyłączony korpus posiłkowy i postawiony do dyspozycyi armii austro-



**Wkroczenie „dzieci krakowskich" do Czerniowiec:** Gruzy mostu, wysadzonego w powietrze przez Moskali przed odwrotem. Fot. „Bufa".)

węgierskiej. Wszystkie oddziały legionowe udają się na front.

W Królestwie zostają tylko rekruci i garść personalu wyszkolenia. Aparat zaciągowy zostaje uszczuplony ad minimum. Wagonowanie poszczególnych pułków już zarządzone i rozpoczęte. Komenda Legionów i wszystkie zakłady wojskowe (sanitarne, intendanckie i t. d.) udają się w pole.

Do transportu wchodzą zarówno poddani austryaccy, jak i ci Królewiacy, którzy złożyli przysięgę. Legioniści, pozostający w obozie w Szczypiornie, nie są objęci tym rozkazem. W Królestwie ma pozostać 150 oficerów i około 1000 żołnierzy.

Wszystkie koła polityczne, zbliżone do Rady Stanu, uznały zarządzenie powyższe jako czyniące wyłom w akcie z 5 listopada i zademonstrowały na nie uchwałami, które wezwały Radę Stanu do podania się o dymisyę.

W dniu 26 bm. późnym wieczorem na plenarnem posiedzeniu Rady Stanu zapadła jednogłośnie przyjęta historyczna decyzya Rady Stanu:

„Rada Stanu uchwaliła się rozwiązać, likwidacyę swego stosunku do mocarstw pozostawić Radzie regencyjnej, do której przed swą dymisyą desygnowała: ks. arcybiskupa Kakowskiego, ks. prezydenta Lubomirskiego i marszałka koronnego Niemojowskiego.

Równocześnie uchwaliła Rada Stanu powołać do życia komisyę przejściową, któraby zlikwidowała agendy dotychczasowe Rady Stanu".



**Z oswobodzonej Galicyi**: Jedna z pryncypalnych ulic Stanisławowa po ustąpieniu Rosyan. (Fot. „Bufa")



**Nowa ofenzywa włoska**: Zwłoki lotnika zestrzelonego pod Goryańskiem.



**Z oswobodzonej Galicyi**: Pierwszy targ w Kołomyi po ustąpieniu Rosyan (Fot. „Bufa")

Uchwałę dymisyjną Rada Stanu umotywowała w następujących słowach:

„1. Rada Stanu stała bezwzględnie na swem stanowisku, uznanem przez mocarstwa centralne, że Legiony, jako takie, mają być kadrami wojska polskiego.

2. Rozkaz o wysłaniu Legionów na front, przy pozostawieniu drobnej ilości, zupełnie niewystarczającej do tworzenia kadrów, wydanie tego rozkazu bez pytania i bez wiedzy Rady Stanu — wytwarza dla niej położenie pod względem politycznym niemożliwe i zmusza członków Rady Stanu do złożenia swych mandatów w ręce Rady regencyjnej, wybranej według projektu Organizacyi Naczelnych



**Dymisya Rady Stanu**: Prezydent m. Warszawy ks. Lubomirski, członek Rady Regencyjnej.

Władz Państwowych Polskich, zakomunikowanego władzom okupacyjnym w dniu 3 lipca b. r."

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobizny członków Rady regencyjnej, ks. arcybiskupa Kakowskiego i prez. m. Warszawy, ks. Lubomirskiego, którzy w swoim czasie odmówili udziału w Radzie Stanu, a dziś otrzymali mandat likwidacyi jej stosunku do mocarstw centralnych.

## Zacięte walki na zachodnim froncie.

Równocześnie z gwałtowną ofenzywą włoską, Francuzi i Anglicy ponowili swe zacięte ataki



**Z oswobodzonej Galicyi:** Ślady rosyjskiej gospodarski na dworcu kolejowym w Tarnopolu.
(Woj. Kwat. pras.)

na całej rozciągłości zachodniego frontu, nigdzie jednak nie osiągnęli zamierzonego celu, t. j. przełamania frontu. Ani pod Verdun, ani we Flandryi, gdzie toczą się najzaciętsze walki, nie osiągnięto żadnego bardziej decydującego sukcesu. A należy zaznaczyć, że obecna bitwa pod Verdun jest pierwszą wielkich rozmiarów operacyą nowego generalissimusa francuskiego, Petain'a, który w zeszłorocznej operacyi pod Verdun uratował sytuacyę. Wybór miejsca obecnych walk niezbyt dobrze świadczy o jego bystrości. Zdaje się, że wyborem dyktowała chęć wywieszenia swego reklamowego szyldu. Na obranej bowiem widowni jest co niemiara miejsc, których nazwiska, każde z osobna, nabrały ogromnego rozgłosu, jak n. p. Martwy Człowiek, wzgórze 304, grzbiet Talou i inne. Zdobycie jednego, czy drugiego z pośród tych „sławnych", taktycznie jednak wcale obojętnych punktów, może Petain'owi dać w oczach rodaków pozór wielkiego zwycięzcy, czemu faktyczny stan rzeczy wcale nie odpowiada.

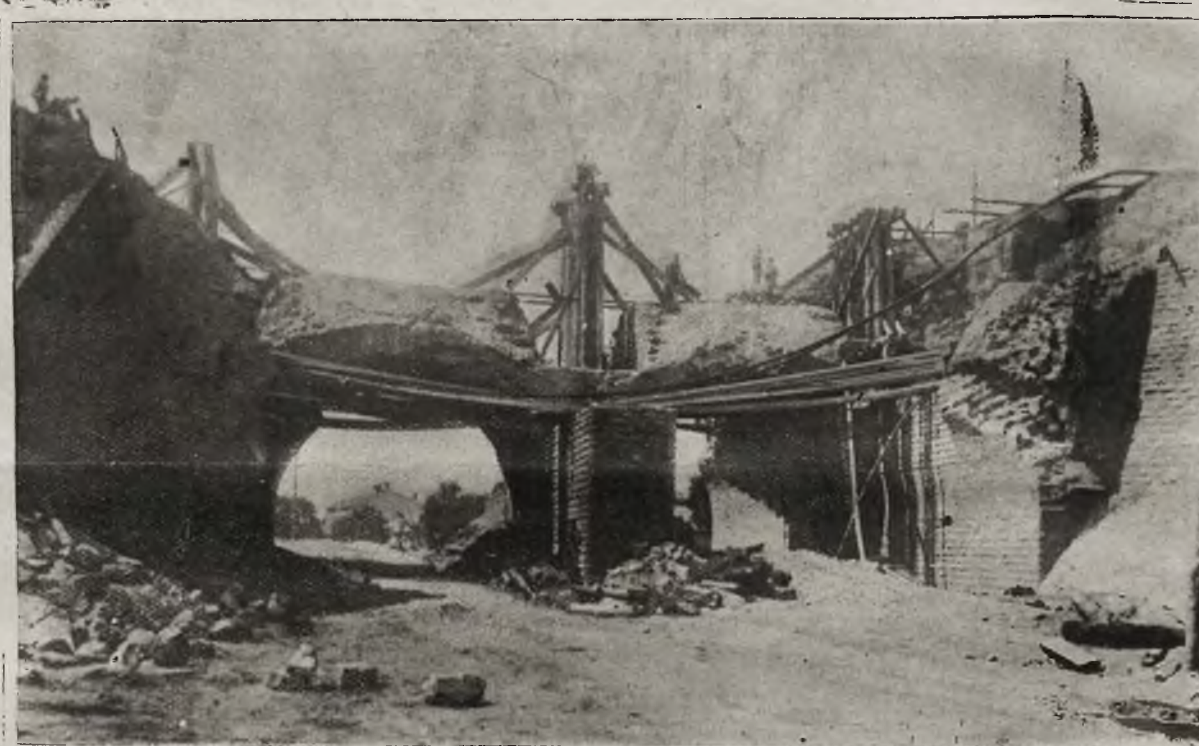
We Flandryi zakończyli Anglicy 23 bm. pięciodniową przerwę wielkim atakiem, po którym nastąpiła walka, trwająca do późnej nocy pomiędzy Langemarck i Hollebeeke, a więc po obu stronach Ypres w szerokości około 15 kilometrów. Zysk tej imprezy był bardzo marny. Pod St. Julien (na południe od Langemarck) i na drodze Ypres-Menin udało się nie przyjacielowi wtargnąć do przednich rowów, ale na tem tylko skończyły się te sukcesy.

Niemniej zacięte walki toczą się w zachodniej Szampanii i na brzegu Mozy. Ataki francuskie, wykonane po ogniu huraganowym koło Beaumont, wyparły początkowo wojska niemieckie z tej miejscowości, w kontrataku jednak odzyskano z powrotem tę wieś, przyczem zabrano znaczną liczbę jeńców.

## Po sezonie operowym.

(Do illustracyi na str. 10).

Tegoroczny sezon operowy w teatrze miejskim przekonać mógł najzawziętszych sceptyków, że dążenie do stworzenia stałej opery w Krakowie nie jest tylko fantazyą kilku jednostek, lecz opiera się na istotnej potrzebie szerokich mas publiczności. Przez te dwa miesiące nie było ani jednego przedstawienia pustego, niewysprzedane zupełnie można by policzyć na palcach, a gdy sezon się kończył, powszechnie domagano się przedłużenia. Pod względem artystycznym, mógł sezon zadowolić nawet wybredne wymagania. Każdy, kto stoi zdaleka od lokalnej „polityki muzycznej", a ocenia tylko objektywne fakta, musiał z zadowoleniem przyjąć zamianowanie przez gminę kierownikiem artystycznym p. Teofila Trzcińskiego. Towarzystwo operowe zyskało w jego osobie świetnego reżysera, którego mu dotąd brakowało. Opery, których inscenizacya i reżyserya idzie wyłącznie na jego conto, jak „Halka", „Janek", „Orfeusz", a przedewszystkiem misterne „Uprowadzenie z seraju", były świadectwem dużej fantazyi i pomysłowości, a zwłaszcza cennej w naszych stosunkach umiejętności artystycznego wypowiedzenia się przy ograniczonym zasobie środków.



**Z oswobodzonej Galicyi** Wysadzony przez Rosyan most kolejowy pod Tarnopolem nad dawną drogą Zbaraską.
(Woj. Kwat. pras.)



**Z oswobodzonej Galicyi:** Automobil pancerny, pozostawiony przez uciekających Rosyan pod Tarnopolem
(Fot. „Bufa")

Z drugiej strony Towarzystwo operowe miało możność wykazania w znacznie korzystniejszem świetle tych przymiotów, które ogólnie w niem ceniono. Cała prasa podniosła zgodnie, że doskonały chór ruszał się i grał tak dobrze, jak nigdy przedtem. Ze solistów p. Stępniowski, szczęśliwie skierowany ku repertuarowi buffo, objawił talent komiczny, którego w nim nie podejrzywano, pp. Jaworzyńska, Romanowski i Mazanek zyskali w rutynie scenicznej, zaś p. Zathey stworzył jako Kecal w „Sprzedanej narzeczonej" pierwszorzędną kreacyę.

Ozdobą sezonu były występy pp. Korolewicz, Mokrzyckiej, Tarnawskiego, Dębickiej i kapelmistrza Stermicha; bardzo słusznie też wykorzystano p. Szafrańską, zapomnianą w latach poprzednich, i nikomu dotąd nieznanego tenora p. Lubienieckiego.

Sezon zakończył się pod znakiem dotkliwej straty dla życia muzycznego Krakowa, odejściem do Warszawy prof. B. Walewskiego. Wysiłki jego i współtowarzyszów stworzyły dzieło, z którego Kraków mógł być dumny. Opuszcza również Kraków, przenosząc się na obcą scenę, ceniony śpiewak p. Zathey, który, również położył ważne zasługi dla kultury muzycznej naszego miasta, jako organizator Towarzystwa operowego i niestrudzony propagator sprawy operowej w Krakowie.

Nierozsądnem byłoby wstrzymywać w rozwoju pracę, która dotąd takie rezultaty wydała, pomimo wszystkich trudności i przeszkód. Gmina miasta powinna wysnuć wnioski z faktów bijących w oczy i ludziom, pracującym niezrażenie w imię idealnego celu, dać możność pracy, do której prawo zdobyli sobie dotychczasowymi czynami.

**Adam Wiaryga-Minieski.**

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

13

— No! Nie dziwię się, że jej się nie chce wprowadzać do towarzystwa — takiej synowej!...

— Skoro jednak jest synową!... Wie pani, nie zazdroszczę ja tam tej młodej Żarnickiej!... Musi ona mieć słodkie życie przy takiej świekrze!...

Julian Łuniewski i Władek Koszczyc odprowadzali panie Żarnickie.

Matka umiała tak zręcznie pokierować, że Władek chcąc nie chcąc, musiał jej dotrzymywać towarzystwa, a Lola z Łuniewskim szli naprzód sami.

— Bardzo się pan nudził? — pytała Lola.

— Wcale nie!... Mogę powiedzieć nawet, że się dobrze zabawiłem!...

— Czem?

— Obserwacyą.

— I wyśmiewał pan wszystkich i wszystko?...

— Więc pani mnie za takiego uważa, który wszystko i wszystkich wyśmiewa?...

— Przynajmniej w duchu, jeżeli nie głośno.

— Ma pani słuszność po części, ale niezupełnie... A propos, kto to jest ta pani Tyssowska?

— Żona lekarza, była studentka... Podobała się panu?

— Bardzo rozsądna osoba.

— Istotnie rozsądna, tylko, że chce płynąć przeciw prądowi, a to na nic. Nikogo nie przekona, a sama naraża się na przykrości.

— Hm!... Różne bywają usposobienia...

— A któraż panna wydała się panu najładniejsza?...

— Przyznam się pani, żem żadnych porównań nie robił...

— No, tak ładnej, jak jest moja bratowa, niema drugiej w Łykowie... — wyrzekła zwolna Lola, usiłując pomimo wieczornego mroku ułowić wyraz twarzy młodego człowieka.

— Tak pani sądzi?...

— A pan?... — Pytanie to wyrwało się Loli za szybko, za gorączkowo i głos jej mimowoli zadrżał trochę.

— Owszem i ja jestem tego zdania, że pani Konradowa jest ładna — powiedział tak obojętnym tonem, że Loli nagle załomotało z radości serce i rozluźniła się obręcz, dławiąca jej gardło.

To im się chyba tylko tak zdawało, jej i matce! On ani myśli o Józi! Oczywiście był grzeczny dla żony Konrada, widział, że jest ładna, bo któżby tego nie widział, ale nie zajął się nią żywiej — to było tylko przywidzenie, śmieszne, przykre przywidzenie!

Skoro jednak zaczęła rozmowę o bratowej, musiała prowadzić ją dalej.

— Konrad strasznie się w Józi zakochał... I ona w nim... Co to były za awantury przed ślubem... Prawdziwy „mariage d'amour".

— To bardzo dla nich szczęśliwie...

— Ożenił się z nią wbrew wyraźnej woli matki...

— To już mniej szczęśliwie...

— Mama dotychczas nie może się jakoś do Józi przekonać...

— To zauważyłem.

Jakieś rozdrażnienie zabrzmiało niespodzianie w głosie Łuniewskiego.

Lola spojrzała na niego zdziwiona. Co mu się stało?...

— Lolu!... — ozwał się głos pani Żarnickiej.

— Słucham, mamusiu.

Doszli już do kamienicy Żarnickich.

Koszczyc zadzwonił, ale stróżka, zwyczajem swoim, kazała dość długo czekać na siebie.

Władek po swojemu paplał, śmiał się i dowcipkował, ale Łuniewski milczał uparcie, tak uparcie, że to milczenie jego stawało się wprost dziwnem i nawet niegrzecznem.

Lola przyjrzała mu się uważnie i spostrzegła, że podniósł on głowę trochę do góry i spogląda w okno pierwszego piętra, gdzie w ciemnem obramowaniu majaczeje jakaś głowa kobieca.

— Józia!... — pomyślała Lola i poczuła bolesny skurcz serca.

W bramie dały się słyszeć człapiące kroki i zgrzyt obracanego w zamku klucza.

Łuniewski ciągle patrzył w okno, jak zahypnotyzowany.

— Dobranoc panu, panie Julianie! — rzuciła Lola nagle tak ostro, że przestraszyła się sama tonu własnego głosu.

Julian drgnął silnie.

— Dobranoc!... — lekko uścisnął zimne, jakby skostniałe palce dziewczyny.

Młodzi ludzie ucałowali rękę pani Żarnickiej i stróżka z hałasem zatrzasnęła bramę.

— Widziała mama, ona tam wygląda! — zawołała chrypliwie Lola.

— Gdzie? Kto?

— Józia!... Przez okno!... Kokietka bezwstydna!... Podła!...

— No, nareszcie przekonałaś się!... A mówiłam ci, żebyś się...

Lola nie słuchała już. Nie zdejmując nawet kapelusza, pobiegła do pokoju bratowej i otwarła bez pukania drzwi.

Józia, która ubrana w białą matinkę, stała jeszcze przy oknie w ciemnym pokoju, odwróciła głowę.

— Kto to? To ty, Lolu?

— Odejdź natychmiast od okna! Jak się nie wstydzisz kokietować przechodniów!... — syknęła Lola, trzęsąc się ze złości.

Podbiegła do bratowej, odepchnęła ją od okna i zamknęła je z hałasem.

Mignął na ulicy jasny panamski kapelusz Łuniewskiego. Nie odszedł jeszcze!... Jeszcze popatrzył się w okno tej... tej... Lola nie mogła znaleźć we wzburzonej myśli odpowiedniej nazwy dla bratowej.

— Lolu, o co ci chodzi?! — zawołała Józia, przerażona tym nagłym napadem — Ja nie rozumiem...

— Naturalnie, nie rozumiesz! O! Ty, niewiniątko!... Już ja cię poznałam, jaka ty jesteś!...

— Jaka?!

— Pocoś stała przy oknie?! — wrzasnęła Lola, podbiegając do bratowej z zaciśniętemi pięściami.

Józia cofnęła się za stół, jakby chcąc się bronić, bo zdało się jej że Lola rzuci się zaraz na nią.

— A cóż w tem złego?... Nafty nie mam, czytać nie mogę, spać mi się jeszcze nie chce, więc co mam robić?... Co ja ci zawiniłam?! — w głosie młodej kobiety zadrżało tłumione łkanie.

— Nie zawracaj głowy! Poznałam, coś ty za ziółko i Konrad cię pozna, tylko, niestety, za późno!...

Lola wybiegła z pokoju równie gwałtownie, jak tutaj wpadła, a pogonił za nią głośny, żałosny płacz Józi.

— — — — — — — — — — — — — — —

List Józi do Anielki Walczakowej:

„Droga, najdroższa moja, złota, jedyna Anielko! Jakaś Ty dobra, żeś mi tak prędko i taki długi, serdeczny, kochany list napisała!...

Spłakałam się nad nim z radości, że przecież Ty mnie jeszcze lubisz trochę i pamiętasz o mnie, choć ja właściwie na to nie zasłużyłam.

Pytasz, Anielko, jak mi jest tutaj i co się dzieje z Konradem...

Konrad jest na Węgrzech, przydzielony do służby etapowej. Jest zdrów i pisuje często, czasem jednak nie pisze oddzielnie do mnie, tylko razem do mnie i do swojej matki. A wtedy to mi jest tak przykro, tak boleśnie, że tylko Tobie przyznać się do tego mogę. Bo komu innemu nie powiedziałabym. Nikomu — ani ojcu, ani siostrze, ani ciotce, ani żadnej koleżance, ani nawet jemu samemu...

Czyż mogę mieć mu to za złe, że on matkę kocha i ufa jej — czyż mogę go biedaka niepokoić i martwić...

Chociaż nieraz — to mimowolnie tak przychodzi mi na myśl: czy on się tak zupełnie nic a nic nie domyśla, że ta matka nienawidzi mnie...

Anielko, nie będę przed Tobą ukrywała — jest mi tutaj pusto, smutno, obco i źle, bardzo źle...

Nikt mnie nie lubi, nikt się nie tylko o mnie nie troszczy, ale mi nawet dobrego słowa nie rzuci...

Nawet sługi w tym domu dają mi do poznania, że jestem zbyteczna i niepożądana...

Nawet te panie, które spotykam na ulicy, a których nie znam, patrzą się na mnie dziwnie nieżyczliwie, jakbym coś komu złego zrobiła...

A cóż dopiero mówić o mojej świekrze... Ją drażni każdy mój ruch, każde moje spojrzenie... Po całych dniach nie wychodzę z pokoju, żeby tylko jej nie spotykać, żeby nie słyszeć ciągle: Czego się szwendasz?... Czego się wiercisz?... Czy nie masz nic do roboty?!...

A ja rzeczywiście nie wiem, co robić ze sobą, czem zająć czas... Teraz to już nawet książek nie mam do czytania... Dawniej przynosiła mi je Lola, siostra Konrada, ale teraz, to i ona zła na mnie, nie wiem doprawdy, dlaczego...

Boję się jej teraz jeszcze więcej, niż samej świekry; chociaż nie mam pojęcia, o co jej chodzi...

Och! Anielko, jaka ja jestem biedna, bardzo biedna!... Pożałuj mnie choć Ty, dobra, jedyna moja...

Wczoraj Żarnicka wysyłała paczkę do Konrada, pakowała wszystko sama, a ja nic dodać mu od siebie nie mogłam... dotknąć mi się nawet tego nie było wolno... nie śmiałam się zapytać, co mu posyła...

A Konrad w ostatnim liście swoim pisze mi, żebym przemogła moje krnąbrne usposobienie i była posłuszna matce, bo on sobie tego życzy stanowczo i wymaga... Podkreślił dwa razy słowo: wymaga...

Co to znaczy?... Nie wiem. Czyżby ona mu coś złego o mnie napisała... Może, bo to podobne do niej...

A gdybym ja mu tak całą prawdę napisała, Anielko?... Co, jak myślisz?...

Nie!... Tego nie zrobię!... On taki wrażliwy i nerwowy!... Zresztą, nie uwierzyłby mi może...

Ale Ty nie myśl, że ja żałuję tego, co się stało!... O! Nie... Ja jestem bardzo szczęśliwa, żem już żoną Konrada...

Tylko... Ale dosyć już o mnie, bo co jest, to być musi... A jak Konrad wróci, wszystko będzie dobrze...

Żeby już tylko wrócił...

Anielko! Dziękuję Ci za fotografię Twojej malej Józienki... Tak mi to miło, żeś jej moje dała imię...

Mam w tem dowód, żeś nie straciła serca dla tej szalonej Józki, która Cię zawsze bardzo, bardzo kocha..."

Józia podparła ręką czoło i przestała pisać. Wahanie jakieś powstrzymało jej rękę. Chciała właśnie wspomnieć przyjaciółce o swoich drobiazgowych a przykrych kłopotach materyalnych, o zupełnym braku pieniędzy...

Nie! Tego pisać nie może... Przecież toby wyglądało, jakby się napraszała o pomoc, a zresztą, cóżby sobie Anielka pomyślała o Konradzie!... Ona i tak zawsze miała mu coś do zarzucenia.

Młoda kobieta wzięła zapisany arkusik i przebiegła go wzrokiem...

Przeczytała raz, później jeszcze raz i zamyśliła się.

Długa chwila wahania... Nagle żywy rumieniec wytrysnął na twarz Józi... Szybkim ruchem przedarła list na cztery części i odrzuciła od siebie...

Wysunęła szufladę biurka i zaczęła szukać świeżego arkusika. Kiedy przetrząsała teczkę, upadł na podłogę jakiś list bez koperty.

Józia schyliła się, podniosła go — spojrzała i przeczytała:

„Józiu! Pomyliłaś się, nie kochałaś mnie nigdy... Kochasz innego... Bądź szczęśliwa... Nie mam do Ciebie żalu...

Gdybyś jednak kiedy... Niewołany nie stanę na Twojej drodze, ale gdybyś kiedy potrzebowała pomocy, to pamiętaj, że jestem...

Żegnaj mi, Józiu!

Władysław".

Zadrżał list w palcach Józi. Oczy jej stały się smutne, bardzo smutne i bardzo łagodne.

— Biedny Władek!... Ten mnie kochał!... Czy Konrad... Czy Konrad napisałby taki list?... O! Nie!... Wiem, że nie...

Wpatrzyła się w fotografię męża i poczuła coś, jak wyrzut sumienia...

Przypomniała sobie, że Konrad nie pozwala nawet wymawiać nazwiska Michnika...

Gdyby wiedział, o czem pomyślała... Trzeba podrzeć ten list... Toby dopiero było, gdyby go Konrad kiedy znalazł...

Darła list powoli, jakby z namysłem, czy z żalem. Podarła jednak i drobne, stargane skrawki papieru wyrzuciła do śmieci.

Potem znalazła czysty arkusik papieru i napisała do Walczakowej list inny zupełnie, niż ten, który początkowo wysłać zamierzała... Daleko krótszy, powściągliwszy — bez żadnach skarg. Zakleiła kopertę i postanowiła zanieść sama list na pocztę.

Ubrała się prędko i cicho, skradając się nie-

mal, wysunęła się chyłkiem z mieszkania, żeby się tylko nie spotkać z świekrą, lub szwagierką i nie narazić na ich ironiczne spojrzenia i uwagi.

Odetchnęła lżej, kiedy się znalazła na ulicy.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Józia podeszła do okienka pocztowego, żeby sobie kupić markę.

— Proszę o markę za dziesięć halerzy.

Larchówna obrzuciła ją swojem ognistem spojrzeniem. Urzędniczka oderwała markę i, podając ją Józi, uśmiechnęła się do niej przyjaźnie, jak do dobrej znajomej.

Młoda mężatka zaróżowiła się, ale mimowoli odwzajemniła się ślicznym półuśmiechem.

Larchówna wysunęła głowę z okienka i rozejrzała się. Pusto było — prócz Józi żadnego interesanta.

Czarne, przepuszne łuki brwi Larchówny podniosły się lekko w górę w jakimś namyśle, czy wahaniu.

Mądre, przenikliwe oczy jeszcze raz przesunęły się po Józi, która przylepiała na kopercie markę i w żaden sposób przylepić nie mogła.

Nagle — szybkim, zdecydowanym ruchem wyciągnęła Larchówna rękę i przemówiła:

— Chciałam już dawno panią poznać. Pani pozwoli, że się przedstawię... Jestem Larchówna.

Józia nie zdziwiła się nawet. W milczeniu uścisnęła suchą, gorącą, giętką dłoń urzędniczki.

— Żarnicka... — szepnęła dopiero po chwili, przypominając sobie, że i ona powinna się przedstawić...

Larchówna uśmiechnęła się jakoś dziwnie.

— O! Wiem dobrze, kim pani jest... A pani słyszała już o mnie?... Niech pani powie szczerze... słyszała pani?...

— Słyszałam...

— No, spodziewałam się tego. Pewnie pani okropności nagadali i dlatego pani boi się mnie...

— Ależ, skądże znowu...

— Niech się pani nie wypiera, po co... Widziałam przecież, jak pani chciała uciekać... Domyślam się, dlaczego... Ale to pani powiem, że pani się zupełnie niepotrzebnie mnie lęka... O! zupełnie niepotrzebnie...

— Ja się pani wcale nie lękam. — odpowiedziała Józia, teraz już spokojnym, stanowczym tonem — Przeciwnie...

— Przeciwnie?... — podchwyciła Larchówna — Więc pani odczuła to, że ja do pani na pierwszy rzut oka powzięłam jakąś... powiedzmy... sympatyę...

— Tak. Odczułam to. Pani się zupełnie inaczej na mnie patrzyła, niż wszystkie inne łykowskie panie. I choć uprzedzono mnie...

Józia urwała i spuściła oczy.

— Aha! Już wiem, o czem panią uprzedzano. Oczywiście... Ale czemuż pani stoi?... O! Tu jest ławeczka... Jeżeli pani się nigdzie nie spieszy, to możemy porozmawiać trochę... Spieszy się pani?...

Józia mimowolnie westchnęła.

— Nie, nie spieszę się wcale.

— To niechże pani siada. — powiedziała Larchówna rozkazującym prawie tonem, który jednakowoż nie miał w sobie nic impertynenckiego.

Młoda mężatka usiadła, a Larchówna, podparłszy twarz obiema rękami, przypatrywała się jej przez chwilę bezceremonialnie.

— Zmizerniała pani i posmutniała...

Józia zaczerwieniła się, trochę niemile dotknięta.

— Cóż dziwnego... — odpowiedziała, dziwiąc się w duchu sama sobie, że została tutaj i zaczyna rozmowę z tą dziwną kobietą.

Nie chciało się jej jednak odejść. Stęskniona była za rozmową z ludźmi, a przytem Larchówna podobała jej się.

Znajdowała, że bezceremonialność urzędniczki nie razi wcale, ale harmonizuje doskonale z całą jej osobą.

— No tak, tęsknota za mężem — ciągnęła dalej Larchówna — choć ostatecznie może pani być o niego spokojna... Słyszałam, że jest w służbie etapowej... I panią nie tylko to gryzie i zjada... Są jeszcze inne powody, dla których pani oczy przestały się śmiać... A szkoda, że przestały...

— Proszę pani... — zaczęła Józia.

Larchówna nakryła swoją ręką dłoń Józi.

— Wiem, chce pani powiedzieć, że mi nic do tego. Ma pani racyę. Byłam nietaktowna, ale najczęściej to już ja taka jestem — przedewszystkiem szczera...

— Ja także!...

— To doskonale. I niech pani nie kłamie. Po co?... Mnie pani nie zwiedzie. Powiem pani tyle, że ja pani świekrę znam. O! Bardzo dobrze znam... i że mi bardzo, bardzo żal pani... Gniewa się pani, żem to powiedziała?...

Niski, metaliczny głos Larchówny zabrzmiał jakimś przedziwnie ciepłym tonem.

Józia podniosła głowę i spojrzała w czarne oczy.

— Nie, nie gniewam się.

— To i zgoda między nami. A jabym chciała, żeby między nami była zgoda. Ogromnie lubię takie ładne, dobre, milutkie dzieci, jak pani...

— Proszę pani, ja już nie jestem dzieckiem i... wcale nie jestem dobra... Ja umiem być bardzo zła...

— Całe szczęście. — zaśmiała się Larchówna — Pani jest przedewszystkiem sobą i to jest pani największy, nieodparty urok... Jak pani na imię?

— Józefa.

— Zatem Józia... Wie pani, że to imię nadzwyczaj odpowiednie... Pani się poprostu nie mogła inaczej nazywać, jak Józia...

— Czego ona chce odemnie? — pomyślała Józia, ale nie odchodziła.

Drzwi od przedsionka skrzypnęły. Ukazał się w nich mężczyzna w jasnem, letniem ubraniu, z listem w ręku.

Józia wstała szybko i podała urzędniczce rękę, którą Larchówna uścisnęła bardzo mocno, po koleżeńsku.

— Tutaj niepodobna rozmawiać dłużej... Ale, możeby pani zaszła do mnie kiedy?... Mieszkam ulica Długosza, pod trzecim numerem, pierwsze piętro... Po szóstej codzień jestem w domu... Cóż, przyjdzie pani?

Młoda pani Żarnicka zawahała się. Pójść, nie pójść?... Obiecać, czy nie obiecać?...

Właściwie miała ochotę... Ale świekra... Konrad... Lola...

Larchówna spostrzegła odrazu, że Józia nie wie, co ma odpowiedzieć...

— Ja nie nalegam... Niech pani nie przyrzeka... Będzie pani miała ochotę, to zajrzy, a nie, to nie!... Tylko bez towarzyskich komedyi, bo tego nie znoszę!... Do widzenia, piękna pani!...

Przy okienku stał już ów mężczyzna w jasnem ubraniu i podawał list. Larchówna obróciła ku niemu głowę leniwym ruchem.

— Polecony i „ekspress". — rzekł pan Potyrowski, bo on to był.

— Zaraz napiszę recepis...

Wzięła list i przeczytała adres: „Maks Perlbrenner, Wien VII."

## ROZDZIAŁ VIII.

— Na biedne dzieci!... Prosimy!... Choć jeden kwiatek!... Na biedne dzieci!.. — dzwoniły w powietrzu donośne głosy panien, pobrzękujących puszkami.

W słońcu migotały powiewne, różnobarwne suknie i jasne kapelusze, bo dzień był pogodny, ciepły, prawie upalny.

Micia Kożuchowska, w seledynowej sukni z niezwykle szeroką a bardzo krótką spódniczką, w kapeluszu, tworzącym osobliwą, wielce skomplikowaną piramidę z szafirowego jedwabiu, białej gazy i czerwonych kwiatów — przesuwała się uśmiechnięta, zadowolona, promieniejąca.

W ręce trzymała koszyczek z kwiatami i co chwila, układając swoje za szerokie usta do najwdzięczniejszego uśmiechu, piszczała:

— Na biedne dzieci prosimy!... Na sieroty!... Choć jeden kwiatek!... Tylko dziesięć halerzy!...

Obok niej podzwaniał puszką pan Potyrowski, dodając także niekiedy:

— Prosimy!... Bardzo prosimy, na biedne dzieci!...

Zbieranie datków nie przeszkadzało bynajmniej pannie Mici w rozmowie z towarzyszem. Szczebiotała coś nieustannie, chichotała i rzucała na pana Potyrowskiego powłóczyste spojrzenia.

Jak on elegancko wygląda!... Co za ubranie!... Jakie lakierki... kapelusz najmodniejszy!... Poznać człowieka bogatego i z wielkiego świata!...

Niech te wszystkie sroki patrzą i zazdroszczą! Musia Mizerska aż pozieleniała!

Micia Kożuchowska, przechodząc obok stolika pani Żarnickiej, oddała ukłon i skonstatowała z zadowoleniem, że Lola, pomimo gazowej, ciemno-różowej sukni i bardzo ładnego kapelusza, wygląda jakoś nieszczególnie, a biała sukienka Józi zrobiona jest z najskromniejszego w świecie batystu i krój ma wcale nie najświeższej mody.

Panna Kożuchowska przejrzała się nieznacznie w szybie jakiegoś sklepu i uśmiechnęła się tryumfująco. Była tak zadowolona dzisiaj ze siebie, ze swego wyglądu, z nowej sukni i nowego kapelusza, z towarzystwa pana Potyrowskiego, że obojętnie przyjęła fakt, iż paniom Żarnickim towarzyszą Władek Koszczyc i Julian Łuniewski.

Drobnym, fruwającym kroczkiem podbiegła Micia do jakiegoś starszego jegomościa, spieszącego przez ulicę z teką pod pachą.

— Proszę pana, na biedne dzieci!... Choć jeden kwiatek!...

Jegomość spojrzał niechętnie z pod oka na pannę Micię i, sięgając do kieszeni, mruknął:

— Już się zaczyna!...

Wyjął jednak portmonetkę, otworzył ją i szukał w niej dość długo monety dziesięciohalerzowej.

Znalazł wreszcie, wrzucił pieniądz do trzymanej przez Potyrowskiego puszki, wziął kwiatek i z widoczną irytacyą rzekł:

— Żeby to naprawdę tylko jeden kwiatek!... Ale to przecież człowiekowi przez cały dzień spokoju nie dadzą!...

Panna Micia zrobiła obrażoną minę i nie podziękowała nawet.

Teraz zwróciła się ku dwom kobietom, które niosły w ceratowych torbach trochę ubogich sprawunków.

— Na biedne dzieci!... Prosimy!... Na biedne dzieci! Każdy dać powinien!...

Jedna z tych kobiet zatrzymała się i złem okiem zmierzyła strojną postać kwestarki.

— A na jakie to dzieci panna zbiera!... Bo moim dzieciom, to nikt jeść nie daje zadarmo!... I ja nie kwiatków dla nich potrzebuję, tylko chleba i ziemniaków, rozumie panna?!...

Panna Micia zmieszała się, a kobieta, wlepiając w nią czarne, nieprzyjaźnie płonące oczy, mówiła:

— Jak kto chce biednym dawać, to niech z własnej kieszeni daje!... Widzicie, jakie dobrodziejki!... Kapelusze, jak ta wieża na kościele, spodnice szerokie i firtują po ulicach z kawalerami!...

— Co to znaczy?!... Ja policyanta zawołam! — krzyknęła oburzona panna Micia.

— O! Policyantem grozi!... Boję się panny strasznie!...

Teraz pan Potyrowski uznał za stosowne pospieszyć z interwencyą.

— Moja kobieto — powiedział spokojnie, ale stanowczo i prawie groźnie — radzę wam odejść spokojnie i trzymać język za zębami!...

— A cóż to ja dla ciebie — kobieta!... Ja taka pani, jakeś ty pan, jeżeliś pan, bo ja twojego państwa nie widziała!... Będę trzymała język, ale jak mi się spodoba — inaczej nie!...

Sytuacya zaczynała być kłopotliwą. Potyrowski na seryo oglądał się za policyantem, którego jakoś nie było w pobliżu. Na szczęście towarzyszka rozsierdzonej kobiety pociągnęła ją za rękaw:

— Pani Maciejowa, moja pani, niech też pani da spokój!... Po co się swarzyć!...

— A bo się we mnie krew gotuje, jak widzę takich!... Żeby oni tak, jak ja, pół nocy przestali w „ogonku" i bez chleba odeszli, toby się im nie zachciewało!...

— Teraz wszystkim bieda, bo wojna!...

— Nie wszystkim, moja pani, nie wszystkim!...

Pani Maciejowa uspokoiła się wszakże i poszła dalej, coś tam jeszcze mrucząc i wygadując.

— Co za brak uświadomienia u ludzi z niższych sfer!... — zwróciła się Micia do Potyrowskiego, cała jeszcze czerwona ze wzburzenia. — Nie rozumieją, co to znaczy poświęcać się i pracować dla celów dobroczynnych!...

— Biedne społeczeństwo!... — westchnął pan Potyrowski.

W tej chwili na zakręcie ulicy ukazał się młody, zgrabny porucznik. Z błyskawiczną szybkością frunęła panna Micia ku niemu i, wyszczerzając w uśmiechu swoje niezupełnie równe i trochę nadpsute ząbki, prosiła:

— Na biedne dzieci!... Jeden kwiatek!... Na biedne dzieci!...

— — — — — — — — — — — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Rozwiązanie sądów legionowych.

Prawie równocześnie z oddaniem sądownictwa cywilnego w Królestwie Polskiem przez władze okupacyjne czynnikom miejscowym, nastąpiło z rozkazu Polskich, znający stosunki i przejęci ideologią Legionów.

Po nieznacznych zmianach personalnych, zaszłych w składzie sądów w ciągu trzech lat ich istnienia, służyli do chwili rozwiązania: w sądzie komendy



**Rozwiązanie sądów legionowych:** Członkowie sądu polowego Komendy Legionów Polskich w Warszawie. Od lewej ku prawej stoją w pierwszym rzędzie: chor. Wikiera, chor. dr. Rydel, por. dr Stein, kap. dr. Daniec, por. dr. Krzemieński, podpor. dr. Maciszewski; w drugim: chor. Chrzan, chor. dr. Mecnarowski.



**Z oswobodzonej Galicyi:** Manifestacya na placu Sobieskiego w Tarnopolu z czasu pobytu Rosyan za pokojem „bez aneksyi i odszkodowań wojennych".

generał gubernatorstwa warszawskiego rozwiązanie jedynych dwóch dotychczasowych polskich sądów wojskowych t. j. sądu polowego komendy Legionów Polskich w Warszawie i sądu byłej komendy grupy Legionów Polskich w Dęblinie.

Obydwa powyższe sądy funkcyonowały jako instytucye ściśle legionowe, wykonywując jurysdykcyę jedynie i wyłącznie nad Legionistami.

W skład sądów, utworzonych początkowo wedle zasad organizacyjnych. obowiązującyah dla c. i k. armii, a następnie od 20. września 1916 roku w zupełności zlegionizowanych, weszli mianowani przez ministra obrony krajowej audytorzy z pośród osób służących od początku wojny obecnej w Legionach Legionów Polskich kap. dr. Daniec, por. dr. Krzemieński i por. dr. Stein jako audytorzy, nadto przydzieleni jako oficerowie śledczy podpor. dr. Maciszewski, chor. dr. Emil Mecnarowski, chor. dr. Rydel i chor. Eug. Wikiera; w sądzie zaś byłej komendy grupy Legionów Polskich: major-audytor Dunikowski i por. audytor dr. Sikorski, tudzież chor. dr. Pawełek, Kurowski i dr. Rettinger.

Kierownikiem sądu komendy Legionów Polskich, a zarazem referentem prawnym, był niedawno z c. i k. armii przydzielony zawodowy c. i k. kapitan audytor Ganczarski.

Z chwilą przejścia Legionów Polskich na etat cesarskiej niemieckiej armii i stworzenia z nich kadr armii polskiej, utworzono przy sądzie polowym w Warszawie dla ukwalifikowanych prawników szkołę przyszłych sędziów wojskowych polskich z pośród osób służących w Legionach, przygotowano wszystko dla wprowadzenia w życie percypowanego czasowo ustawodawstwa wojskowego niemieckiego, przetłumaczenia na język polski odnośnych ustaw, rozporządzeń i t. d.

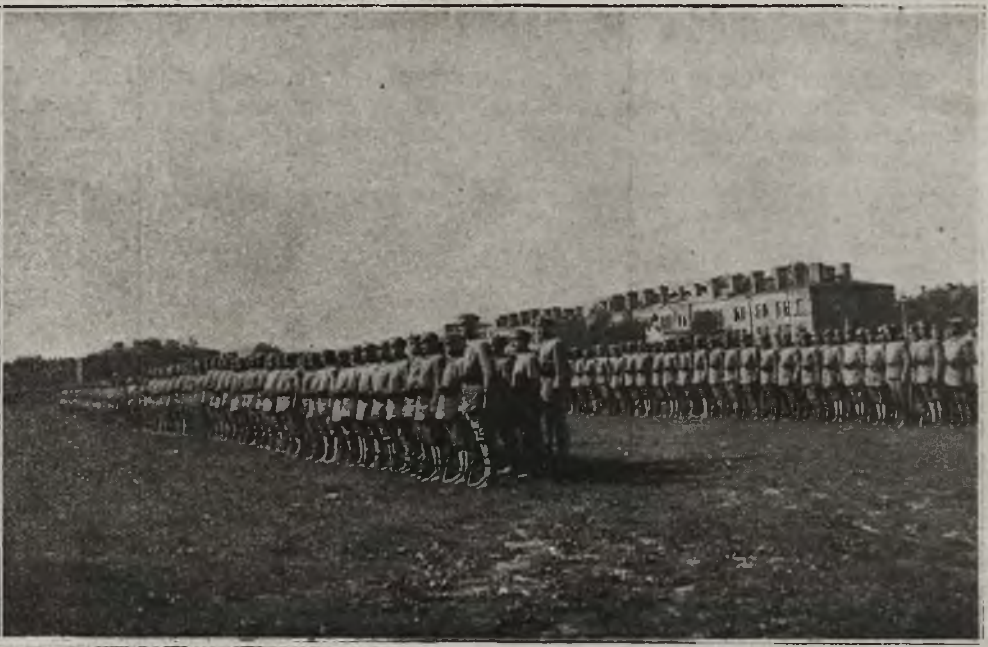
Owiani obywatelskim duchem sędziowie wojskowi polscy nie szczędzili trudu i poza żmudną pracą zawodową, rozwinęli dla celów wyżej wskazanych olbrzymią wprost pracę organizacyjną idącą w parze z państwowo-twórczą robotą innych czynników.

Po uzyskaniu zgody naczelnej Komendy c. i k. armii oraz ministra spraw zagranicznych w Wiedniu orzecznictwu tak organizowanych sądów wojskowych polskich poddani być mieli wszyscy Legioniści polscy i rekruci nowozaciężni, bez względu na ich przynależność państwową, a więc, tak poddani austro-węgierscy, jak i Królewiacy.



**Z oswobodzonej Galicyi:** Ruiny mostu na Dniestrze pod Zaleszczykami, wysadzonego w powietrze przez Rosyan przed odwrotem (Fot. Bufa)





Oficerowie słuchają kazania kapelana ks. Łuszczki. **W trzecią rocznicę wymarszu Strzelców:** Szósty kurs w kolumnie kompanijnej.





Legioniści na matchu. **W trzecią rocznicę wymarszu Strzelców:** Match między czwartym a szóstym kursem.

Z powodu rozwiązania sądów odeszli sędziowie wojskowi polscy z Leg. pols. i wcieleni zostali jako c. k. audytorzy do sądu wojskowego c. i k. komendy obwodowej w Piotrkowie.

Sądownictwo nad legionistami przeszło co do polskich poddanych w obce ręce, co do poddanych austr.-węg. na c. i k. sądy wojskowe, przez co ugruntowuje się przedział, jaki uczyniono pomiędzy żołnierzami polskimi, walczącymi przez 2 lata tak chlubnie i tak bohatersko dla jednego wspólnego ideału. W uznaniu zasług położonych przez ustępujących sędziów, komenda Leg. pols. wydała dnia 11 sierpnia br. pod nr. 326 następujący rozkaz:

„Z dniem 11 bm. opuszczają nas zasłużeni sędziowie audytorowie: mjr. aud. Dunikowski Bolesław, kap. aud. dr Daniec Józef, por. aud. dr Stein Stanisław, por. aud dr Krzemieński Jakób, por. aud. dr Sikorski Bronisław.

Z żalem żegnamy Kolegów, do których przywiązały nas 3 lata wspólnej pracy wojskowej i organizacyjnej. Pełni zapału dla idei legionowej pospieszyli Oni ofiarować swe siły i wiedzę dla korzyści sprawy i rozwoju wojska polskiego i stali się przez swą nieskazitelną działalność tej idei zasłużonymi strażnikami. Dziś, gdy odchodzą od nas jako zasłużeni pracownicy, o zachodzie dnia legionowego, po którym nastąpi świt dla regularnej armii polskiej, żegnam Ich z głębi serca z żalem, lecz równocześnie i nadzieją ujrzenia Ich jeszcze kiedyś w naszych szeregach. *Zieliński*, pułk. m. p."

W numerze niniejszym pomieszczamy odbitkę z fotografii członków rozwiązanego sądu polowego.

Od lewej ku prawej stoją w pierwszym rzędzie: chor. Wikiera, chor. dr Rydel, por. dr Stein, kpt. dr Daniec, por. dr Krzemieński, ppor. dr Maciszewski, w drugim rzędzie chor. Chrzan, chor. dr Emil Mecnarowski.

## W trzecią rocznicę wymarszu Strzelców.

W trzecią rocznicę wkroczenia pierwszych uzbrojonych oddziałów strzeleckich na ziemię Królestwa





**W trzecią rocznicę wymarszu Strzelców:** Oficerowie i gromadka okolicznych niewiast przed ołtarzem polowym. Oficerowie przed defiladą.





Oddział lekkich karabinów maszynowych. **Nowa włoska ofenzywa**: Zestrzelony aeroplan w Goryańsku.

Polskiego, odbyło się w Zambrowie, w obozie 4 i 6 kursu wyszkolenia wojska polskiego, uroczyste nabożeństwo polowe. O godzinie 9 przed południem, żołnierze odświętnie ubrani i udekorowani zielenią przy czapkach, stanęli na jednym z placów ćwiczeń w kolumnie kompanijnej z bronią u nogi. Nabożeństwo odprawił kapelan legionowy ks. Łuszczki, który wygłosił również podniosłe kazanie, wzywając żołnierzy do wytrwałej pracy dla dobra Ojczyzny. Po nabożeństwie odbyła się defilada, która wykazała sprawność i duże wyrobienie żołnierza.

Do programu uroczystości dnia tego należał popołudniowy match pomiędzy kursem 4 a 6, bieg na 100 i 200 metrów, skok z miejsca, zapasy atletyczne i t. d.

## Nowa ofenzywa włoska.

Na wszystkich frontach rozgorzała obecnie zacięta walka, a Włosi przystąpili do nowej, jedenastej z rzędu, ofenzywy, nie szczędząc ofiar w bezustannych szturmach.

Jaki cel przyświeca szalonym ofiarom Włochów w ich atakach? Ogólnym celem ofenzywy jest jak zwykle Tryest, do którego najkrótszą drogą przez Harmadę dostaćby się chcieli. Ale każda bitwa posiada zwykle swoje własne strategiczne cele, od których spełnienia zawisło jej przegranie lub zwycięstwo. Wedle dotychczasowego przebiegu walk stwierdzić można pięć głównych ognisk, w których się skupiają ataki włoskie. Kierownictwo ich wojsk, z biegiem wypadków, będzie musiało jedno z nich wybrać, jako miejsce do rozstrzygającego uderzenia. W pierwszej fazie walki wybór ten jeszcze nie nastąpił.



**Odsłonięcie tarczy Legionów w Rzeszowie**: Uroczystość wbijania pierwszych gwoździ.

Dotychczasowe główne ogniska walk rozdzielają się w następujący sposób: trzy z nich wychodzą z doliny środkowego biegu Soczy, jedno z doliny Gorycyi, a jedno leży na Krasie. Najbardziej na północy leży przyczółek mostowy Santa Lucia. Rozbudowany w formie silnego fortu chroni on miasto Tolmin przed losem Gorycyi. Przeciw niemu ześrodkował się koncentryczny ogień bateryi włoskich. Równocześnie zaatakowano Tolmin i od północy, w kierunku na Mrzli Vrh, gdyż tu Włosi przeszli przez Soczę już dawniej i mieli wygodną bramę wypadową.




**Z oswobodzonej Galicyi**: Zburzone domy w Horodence. (Fot. „Bufa")

Drugie ognisko stanowi odcinek między Canale a Auzza. Operacye tu podjęte idą w parze z atakami wykonanymi z obszaru położonego bardziej na południe, gdzie zdobyty poprzednio pagórek Kuk

Walka trwa dalej. Włosi zgromadzili tak wielkie rezerwy, że mogli już szereg dywizyi po trzech dniach zastąpić nowemi. Próbowali oni i na tym froncie zastosować automobile pancerne. Pojawiły

ofiarowała 1000 K., jeden z weteranów 1863 roku 500 K. i tak dalej, słowem, ofiary płynęły chętnie i z serca dla tych, który przelali krew swoją za wolność, zostawiając żony, matki i dzieci bez pomocy





**Po sezonie operowym:**

Scena końcowa I. aktu „Uprowadzenia z seraju“ (Pp. Lubieniecki, Stępniowski, Tarnawski).

Dekoracya z czwartego aktu „Halki“.

stanowi podstawę operacyjną. Ataki te mają na celu zdobycie z jednej strony przeprawy przez Soczę, a z drugiej zagrożenie tyłom stanowisk obronnych na Momte Santo i obejście w ten sposób pozycyi na wschód od Gorycyi. Tutaj uzyskali Włosi pewien sukces, gdyż zdobyli wieś Vrh na południowy wschód od Canale i wgięli cokolwiek linię obronną austryacką.

W obszarze Gorycyi ataki włoskie kierują się tym razem nie przeciw dolinie Róż (Rosenthal), ale przeciw stacyi kolejowej Obcja Traga. Chcą oni w ten sposób obejść stanowiska austryackie nad potokiem Wippach.

Wreszcie na południe są trzy punkty, na które w całej pełni zwraca się siła włoskich prób przełamania, mianowicie Fajti Hrb, Stara Lokwa i Hermada. W czterodniowych walkach uzyskali tu tylko ruiny wioski Selo.

Dotychczasowe walki mają przebieg bardzo krwawy. Po stronie włoskiej stwierdzono między innymi, że oficerowie tworzyli przy niektórych brygadach oficerskie oddziały szturmowe, które walczyły w pierwszej linii granatami ręcznymi. Ważną rolę w obronie odgrywają w skałach wykute stanowiska karabinów maszynowych, które zabezpieczone od ognia artyleryi często od tyłu brały w krzyżowy ogień szturmujące fale piechoty włoskiej jeśli udało jej się wedrzeć w linie obronne. Most kolejowy pod Monte Sabotino największy w Austryi, został wysadzony w powietrze. Samo zaś Monte Sabotino zostało przez Włochów zamienione w silny fort. Baterye pomieszczono tutaj w wykutych w skale pozycyach. Zagraża też poważnie odcinkowi koło Monte Santo.



**Po sezonie operowym:** Dyr. Trzciński i dyr. Walewski na balkonie teatru

się one koło Biglia na południe od Gorycyi, zostały jednak natychmiast wzięte pod ogień artyleryi i zmuszone do ucieczki.



**Odsłonięcie tarczy Legionów w Rzeszowie:** Delegacya Legionów z Przemyśla.

## Odsłonięcie tarczy Legionów w Rzeszowie.

„Legionom—Rzeszów“. Tak brzmią słowa wyryte srebrnym drukiem na pięknej tarczy orła białego z godłem miasta. Krótkie, lecz szczere te dwa wyrazy dają nam wszystko, co miasto Rzeszów może dać Legionom. Dźwięk tych słów wyraża każde polskie serce, bijące tętnem radości, upojenia, wdzięczności, dumy i tryumfu nadziei. Słowem, wszystko, co ziemia rzeszowska dać może synom swoim, bohaterom.

Tarczę wykonano w Krakowie; jest skromna, lecz ze smakiem artystycznym. Dnia 12. sierpnia bieżącego roku miasto Rzeszów święciło dzień narodowy. Zapowiedziany tydzień legionowy rozpoczął się odsłonięciem tarczy dla Legionów. Na zaproszenie Komitetu Wykonawczego, będącego pod przewodnictwem dr. Niecia i sekretarza Zulińskiego, zjechała delegacya żołnierzy polskich ze Stacyi zbornej z Przemyśla, która pod dzielną komendą p. chor. Dobrowlańskiego w tym dniu do Rzeszowa przybyła.

Nabożeństwo odprawiono o godzinie 10 rano w kościele parafialnym przy licznie zebranej miejscowej ludności, jakoteż delegacyach różnych stanów, przybyłych z miasta i okolicy. Kazanie okolicznościowe wygłosił ks. dziekan Tokarski, proboszcz miejscowej parafii. O godzinie 5-tej popołudniu, przy pięknie udekorowanym kiosku, ustawionym przy jednej ze ścian świątyni, od ulicy 3 go Maja, gdzie umieszczono tarczę, zebrały się liczne tłumy. Z uderzeniem godziny piątej, zagrała trąbka na wieży kościelnej „Jeszcze Polska nie zginęła“, a ks. dziekan Tokarski poświęcił tarczę. Na mownicę wystąpił prezes dr. Nieć, który krótko, lecz ze swadą określił znaczenia uroczystości, a kończąc swe przemówienie, wzniósł okrzyk na cześć powstającej Polski i na cześć Jej synów, żołnierzy polskich. Rozpoczęto wbijanie gwoździ w tarczę. Nie można pominąć tu hojnych ofiarodawców i tak: pani Suszycka, właścicielka dóbr ziemskich Boguchwały, za gwóźdź złoty

do życia, a dla którychto obywatelstwo rzeszowskie odsłoniło tarczę.

Nie można tu pominąć pracy solidnej i intenzywnej pani Dobrowolskiej, przewodniczącej Ligi Kobiet, p. majorowej Waszkowej i gospodyni p. Arwayowej, gorliwej opiekunki Schroniska dla superarbitrowanych Legionistów, które, wspólnie z Komitetem powiatowym, będącym pod przewodnictwem wiceprezesa dra Adama Romana, burmistrza Krogulskiego, posła do Rady Państwa, pana Zielińskiego i t. d., stworzyli ten piękny symbol wdzięczności i poczucia obywatelskiego względem naszych żołnierzy. To też cześć Im i uznanie za pracę, starania i trudy, poniesione dla dobra ojczystej sprawy. Serdecznem, prawdziwie staropolskiem przyjęciem delegacyi z Przemyśla zajął się p. Zuliński z p. Arwayową, którym to, w imieniu delegacyi, przy obiedzie złożył w krótkich a serdecznych słowach podziękowanie jeden z żołnierzy polskich, sierżant Hartfelder Ludwik. Po odśpiewaniu kilku pieśni patryotycznych, gawędach i opowiadaniach z czasów wojennej zawieruchy, przepędzono kilka godzin wśród mile ciepłej serdeczności zacnych Rzeszowiaków.



**Po sezonie operowym:** H. Zathey jako Kecal w „Sprzedanej narzeczonej“.

Piotr Zaccone

# Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

12

Ale to musiała być pomyłka oczywiście! Czyżby ten chłopak był na tyle zuchwały i ośmielił się przyjść tutaj, do jego mieszkania? I w jakimże celu zresztą by to uczynił. Nie posłał mu przecież zaproszenia, a Olivia ani baron również tego uczynić nie mogli z tej prostej przyczyny, że nie wiedzieli nawet o jego egzystencyi.

Postąpił kilka kroków naprzód, przeszedł gorączkowo salonik, do którego, jak mu się zdawało, wszedł Jerzy i stanął zdumiony.

Więc nie mylił się! To był on! Stał, ubrany bez zarzutu, lecz cokolwiek zmieszany, nie wiedząc, jaką postawę obrać w otoczeniu ludzi, nieznanych mu zupełnie i których wesołość raziła go.

Czoło pułkownika oblekło się chmurą niezadowolenia!

Równocześnie Jerzy poznał go i szedł ku niemu z uprzejmym uśmiechem.

— Cóż to? — zawołał pułkownik, starając się zapanować nad gniewem jaki nim wstrząsał — Pan u mnie? Tutaj?

— Cóż w tem dziwnego — odparł młody człowiek z pomieszaniem. — Czy się pan nie spodziewał ujrzeć mnie u siebie?

— Ja?

— Oczywiście! Zostałem przecież zaproszony przez pana na dzisiejszy wieczór.

— Jakto? Więc pan otrzymał zaproszenie?

— Przyznaję nawet, że to mnie zdziwiło niemało, ale pomyślałem, że się pan zastanowił od ostatniego naszego spotkania i że pragnie się pan ze mną rozmówić!

— W jakim celu?

— A o czemże może być mowa pomiędzy nami, jak nie o pannie Gilbercie? — odparł Jerzy, cokolwiek już ośmielony.

— Pan jeszcze powraca do tego przedmiotu? — zawołał pułkownik Robert.

— Byłem w Saint-Mandé — ciągnął dalej młody człowiek, nie zrażając się tym wykrzyknikiem — i dowiedziałem się, że Gilberty tam już niema. Otrzymawszy więc to zaproszenie, sądziłem, że pan chce skrócić moje niepokoje i w tej sprawie pomówić ze mną szczerze i otwarcie.

— I sądził pan również może, że zobaczysz Gilbertę? — zapytał pułkownik ironicznie.

— Nie miałem tej nadziei. Wiadomo panu, do jakiego stopnia kocham Gilbertę. Jest to moja pierwsza i ostatnia miłość. Całe życie moje, serce i duszę pogrążyłem w tem uczuciu i, jeżeli odbierze mi pan wszelkie nadzieje...

— Jednakże mówiłem już panu — przerwał niecierpliwie pułkownik.

— Oh! Wiem dobrze, że się pan sprzeciwiać będzie i wynajdzie różne powody do odsunięcia mnie od Gilberty! Jestem młody i biedny, ale jestem silny i żadna praca mnie nie przestraszy, jeżeli przez nią zdobędę rękę Gilberty. Nie cofnę się więc przed żadnemi przeszkodami, upewniam pana.

Pułkownik powstrzymywał się dotąd, aby nie wybuchnąć ostremi i gryzącemi słowami. Kiedy Jerzy zamilkł wzruszył niedbale ramionami i objął go ironicznem spojrzeniem.

— Spodziewałem się usłyszeć to z ust pana — odparł — i nawet miałem zamiar zawezwać pana do siebie. Ale, jak pan sam osądzić może, miejsce to, ani pora nie nadaje się do tak poufnej rozmowy. — Nie wysyłałem do pana żadnego zaproszenia i dziwię się bardzo, że podobna pomyłka zajść mogła. Skoro jednak przypadek postawił nas niespodziewanie wobec siebie, chcę skorzystać z niego, aby raz na zawsze rozwiać iluzye pana. Gilberta jest sierotą; wziąłem ją pod swoją opiekę i chcę zapewnić jej przyszłość. Dotąd nie zna ona jeszcze życia i jego brzydkich stron. Moim obowiązkiem jest więc strzedz ją i nie odstąpię na krok od tego zadania. Pozatem, niech pan wie, że mam co do niej pewne, ustalone już zamiary i dla jej szczęścia postępuję w ten sposób. Nie pozwolę więc, aby mi ktoś inny burzył moje plany.

— Ale czy Gilberta uznaje pana zamiary? — zapytał Jerzy wzruszonym głosem. — Sądzę, że nie uczyni pan nic, nie wysłuchawszy jej zdania w tym kierunku.

— Gilberta będzie posłuszną i pójdzie za moimi rozkazami i nie radzę panu stawać w poprzek moich zamiarów. Czy to dosyć jasne?

Jerzy uczuł, że przy tych ostatnich słowach pułkownika wściekły gniew ogarniać go zaczyna, ale lękał się, poddając się pierwszemu wrażeniu, zaszkodzić Gilbercie i miał na tyle siły, aby się powstrzymać.

— Dobrze — rzekł, zaciskając zęby. — Ale, pomimo rozkazów pana, ja pozostaję wolnym. Ostatnie słowo jeszcze pomiędzy nami nie wymienione. Do tego, co ja uczynić zechcę, panu również wtrącać się nie wolno!

— Jak się panu podoba! — wyrzekł pogardliwie pułkownik, mierząc go złem spojrzeniem.

— Zobaczymy się jeszcze!

— Nie sądzę.

— Co zaś do Gilberty...

Jerzy przerwał nagle, bo w tej chwili mała ręka kobieca spoczęła łagodnie na jego ramieniu i głos cichy wyszeptał:

— Chcę z tobą mówić!

Młody człowiek odwrócił się szybko i instynktownie cofnął się w tył.

Ale zamaskowana kobieta silniej już przycisnęła jego ramię i wymówiła wesoło:

— Cóż to, mój piękny chłopcze! Przestrach budzę w tobie? Nie przypuszczałam, abyś do tego stopnia nie lubił kobiet.

— Ależ — wyszeptał Jerzy.

— Chcę z tobą pomówić — powtórzyła z naciskiem maska, pochylając się ku niemu.

— Ze mną?

— Tak, z tobą. Chcę ci powiedzieć coś, z czego może nie będziesz bardzo niezadowolony.

Poczem kobieta, zwracając się do pułkownika, wyrzekła swobodnie:

— Pan pozwoli, nieprawdaż? Nie zatrzymam go zbyt długo, jeżeli się w mojem towarzystwie nudzić będzie i oddam go panu na pierwsze żądanie.

I nie czekając na przyzwolenie pułkownika, pociągnęła energicznie Jerzego i zeszła z nim do ogrodu. Kiedy uszli kilka kroków, zatrzymała się i usiadła w altanie, lekko oświetlonej kolorową lampką i z uśmiechem wskazała Jerzemu miejsce obok siebie.

Młody człowiek, zaskoczony tą niezwykłą sytuacyą, usiadł, nie broniąc się już.

— Noc jest ciepła — odezwała się młoda kobieta — i przyjemniej się tu oddycha, niż w salonach, przepełnionych ludźmi, nieprawdaż?

— Rzeczywiście, ale wspomniała pani...

— Oh! Jaki pan ciekawy? To dobry znak. Ale, niech pan będzie cierpliwy. Każda rzecz nadejść musi w swoim czasie. Pozwoli pan przedtem zadać sobie kilka pytań.

— Jak pani się podoba.

— Doskonale! A więc, niech mi pan wytłumaczy, jakim sposobem się to stało, że zastałam pana, rozmawiającego przed chwilą z pułkownikiem Robert? Nie wiedziałam, że go pan zna.

— Znam go bardzo mało, tak mało nawet, że sam dziwił się, ujrzawszy mnie tutaj.

— Nie dostał pan więc zaproszenia od niego? — zapytała ciekawie młoda kobieta.

— Przekonałem się obecnie, że nie on wysłał do mnie zaproszenie i nie mogę zrozumieć tej tajemnicy. Kto to więc mógł uczynić?

— Niech się pan nie dręczy. To ja wysłałam to zaproszenie do pana.

— Pani? I w jakim celu?

— Chciałam z panem pomówić.

— O czem?

— Powiem to panu zaraz.

— Więc pani mnie zna?

— Znam... Czy to się panu nie podoba?

— Cóż mogę na to odpowiedzieć... Przyzna pani sama...

— Oh! Jestem dosyć ładną... powtarzają mi to często...

— Ale któż pani jest?

Młoda kobieta ujęła rękę Jerzego i uścisnęła ją mocno.

— Nie mogę jeszcze zdemaskować się — wyrzekła niskim, przejmującym głosem. — Zawiele osób znajduje się w tym ogrodzie, ale później... przed odejściem, jeżeli pan tego zażąda, odkryję twarz i pan sam mi powie, czy jestem bardzo zarozumiałą.

Jerzy milczał. Ogarniało go dziwne jakieś uczucie, które przyspieszyło bicie jego serca i jakby obręczą uciskało jego skronie. Powstał nagle, chcąc odejść.

— Pan chce mnie już opuścić? — szepnęła młoda kobieta, która przeczuwała jego stan niezwykły.

— Muszę... proszę pani... nie wiem doprawdy — wyszeptał z trudem.

— Niech pan zostanie, proszę bardzo. Po co pan pójdzie na te duszne pokoje, nie zna pan tam nikogo, nieprawdaż?

— Tak, ma pani słuszność, nie znam tu nikogo — odparł Jerzy.

— Czy niema tu żadnej kobiety, która oczekuje na pana?

— Niema żadnej.

— Pan taki młody jeszcze, nie miał pan może sposobności zawiązać jakiej znajomości. A zresztą, zdaje się, że pan ma wiele zajęcia w biurze pana Leduc?

— Pani wie o tem?

— Dlaczego miałabym to ukrywać? Wiem wszystko. Zaczęłam się interesować panem od pierwszej chwili, kiedy pana spotkałam. Kiedy dowiedziałam się, że pan jest sam na świecie, bez rodziny i przyjaciół, sprawiło mi to wielką przykrość i wzmogło zajęcie się panem. Ah! Życie w takich warunkach musi być bardzo smutne!... Wówczas zaczęłam marzyć... Ale nie, to szalona nadzieja!

— Cóż to takiego?

— Niech mnie tylko pan źle nie sądzi — szepnęła ze szczerem wzruszeniem młoda kobieta.

— Nie miałbym powodu...

— Bo to jest takie dziwne ze strony kobiety...

— Niech pani mówi!

Młoda kobieta zawahała się chwilę. Gorące słowa cisnęły się jej na wargi, ale opanowała się.

— Nie — rzekła z wysiłkiem — nie teraz, później może, bo my się jeszcze zobaczyć musimy — nieprawdaż? Pan przyjdzie mnie odwiedzić... i wtedy powiem panu wszystko. Jutro napiszę do pana, dobrze?

— Biedne dziecko! — dodała, widząc, że Jerzy milczy, coraz więcej zmieszany. — Pan jest taki nieśmiały! Dawno jest pan już w Paryżu?

— Żyję zupełnie samotnie — odparł wymijająco młody człowiek.

— Tak, tak, to widoczne. Czy pan znał pana Cypryana Leduc, zanim pan jeszcze objął posadę u niego.

— Pan Leduc opiekował się mną od dzieciństwa.

— Czy on jest krewnym pana?

— Nie! Ale pochodzimy z tych samych stron.

— Daleko stąd?

— Oh, tak! Daleko, kilka mil za Marsylią.

— Czy to wieś?

— Tak, Saint-Nicolas.

Młoda kobieta poruszyła się gwałtownie i pochwyciła Jerzego za rękę.

— Saint-Nicolas? — powtórzyła drżącym głosem. — Pan powiedział Saint-Nicolas!

— Zapewne! Dlaczego to panią tak dziwi?

— Nie! Nie! Panu się zdawało... a jednak...

— Co? Co pani chciała powiedzieć.

Młoda kobieta powstała, silnie zdenerwowana i wzruszona, obejmując młodego człowieka dziwnem spojrzeniem.

— Jedno słowo jeszcze! — rzekła szybko. — Pan się nazywa Jerzy, ale to tylko imię... a nazwisko?

— Nie miałem go nigdy — odparł z głębokim smutkiem młody człowiek.

— Ale ojciec pana?

— Nie znałem go.

— Ale matkę, matkę przecież pan znać musiał.

— Umarła, nie powiedziawszy mi nazwiska, jakie nosić powinienem.

Młoda kobieta zamilkła nagle. Spojrzenie jej wzruszone i niespokojne nie odrywało się od twarzy Jerzego.

W tej chwili od strony willi dobiegł gwar podniesionych głosów, śmiechów i wykrzykników wesołych. Cały tłum gości, który przedtem rozbiegł się po ogrodzie, teraz, zwabiony widocznie nową niespodzianką, zarezerwowaną przez pułkownika, biegł w popłochu ku domowi.

— Muszę pana opuścić — rzekła nagle młoda kobieta. — Dzieje się tam coś, co prawdopodobnie interesować mnie będzie, a nie chcę, żeby moja nieobecność została zauważoną. Czy chce pan zrobić mi przyjemność? Niech pan jeszcze nie odchodzi — proszę przechadzać się tu po ogrodzie czas jakiś... Może za chwilę przyjdę tu znowu. Czy zgadza się pan na to?

— Jeżeli pani tego pragnie...

— A więc odchodzę. Liczę na obietnicę pana

i mam nadzieję, że pan nie pożałuje tego oczekiwania.

Jerzy, pozostawszy sam, niezadowolony był z siebie. Bo pocóż właściwie przyrzekł tej tajemniczej nieznajomej czekać w ogrodzie na nią?

Przypomniał sobie teraz rozmowę, jaką miał z pułkownikiem Robert i pragnął jak najspieszniej się oddalić i pobiedz po radę do jedynego swojego przyjaciela, Cypriana Leduc. Stary archiwista obiecał mu stawić się na tę zabawę, ale Jerzy szukał go dotąd napróżno! Obawiał się, czy jaka nieprzewidziana przeszkoda nie udaremniła ten zamiar i zaczął się niepokoić.

Jerzy przechadzał się po ścieżkach parku, pogrążony w smutnych rozmyślaniach, szukając sposobu przełamania dziwnego oporu pułkownika i wydostania się z przykrej sytuacyi, w jakiej się znajdował. Nagle ujrzał na zakręcie alei kobietę jakąś, której wygląd uderzył go. Ubrana była w ciemną suknię i tak niepodobna do eleganckich, wytwornych pań, przepełniających salony pułkownika, że nie można było przypuszczać, aby i ta osoba została przez niego zaproszona.

Jerzy, mimowoli zaintrygowany, śledzić zaczął jej ruchy. Ujrzał, jak podeszła szybko do wygalonowanego służącego i zamieniła z nim kilka słów przyciszonym głosem.

Służący zdawał się słuchać z uwagą, poczem po lekkiem wahaniu, skierował się w stronę willi.

Kobieta wówczas przeszła kilka ścieżek ogrodu, jak gdyby w oczekiwaniu kogoś i stanęła w małej furtce, wychodzącej na Pola Elizejskie.

Jerzy nie był ciekawym z natury, ale pomimowoli zaintrygowany został dziwnem zachowaniem się tej kobiety i machinalnie przybliżył się również do drzwi.

Ale kobieta posłyszała widocznie jego kroki, bo odwróciła się szybko i, spostrzegłszy go, wydała okrzyk zdziwienia.

— Pan! To pan! — zawołała, podchodząc żywo do Jerzego. — Ależ to szczególnie szczęśliwy przypadek doprawdy!

— Kto pani jest? — zapytał młody człowiek, bacznie przyglądając się kobiecie.

— Jeżeli pan mnie nie zna — odparła uśmiechając się — to w Belleville znajdzie się ktoś, który nie jest panu obcym.

— Kto taki?

— Młoda, ładna dziewczyna... biedactwo bardzo zrozpaczone jest w tej chwili i tęskni za panem. Czy nie rozumie mnie pan jeszcze?

— Pani się zapewne myli — rzekł Jerzy, wzruszony błyskiem nadziei nieokreślonej... Któżby mnie znał w Belleville i interesował się mną?

— Ah! Nie umie pan przeczuwać — odparła stara, potrząsając głową. — Ale nie mamy czasu do stracenia. Tamten może nadejść lada chwila, a z nim nie łatwa sprawa, jak się rozgniewa.

— Któż jest ten „tamten"? — zapytał jeszcze Jerzy, coraz silniej zaintrygowany.

— Eh! Niema czasu teraz na wyjaśnienia... Przyniosłam tu coś dla pana... Bilecik nie podpisany, ale mała powiedziała mi, oddając go: „Powiedz mu, że to od Gilberty".

— Gilberta! Gilberta! — zawołał Jerzy z wybuchem radości, porywając bilecik.

— Ciszej! Ciszej! — szepnęła stara Bruchon. — Krzyczy pan tak, jak gdyby dom się palił. Trzeba być ostrożnym. Mała ma wielką ochotę zobaczyć pana, ale radzę panu uczynić to w ten sposób, aby się tamten nie domyślił niczego, boby było źle!

— Ileż wdzięczności winienem pani — wyszeptał Jerzy, pochłaniając spojrzeniem zawartość bilecika.

— Pomówimy jeszcze o tem przy sposobności. A teraz, niech pan ucieka stąd i to prędko, jeżeli pan nie chce sprowadzić na siebie nieszczęścia.

Jerzy, w wybuchu szalonej wdzięczności, pochwycił obydwie ręce starej, ale wyrwała je szybko i popchnęła go naprzód, mówiąc rozkazująco:

— Już dosyć tego. Niech pan stąd się oddali jak najprędzej. Sekundy są policzone!

Kiedy Jerzy wychodził już furtką na Pola Elizejskie, pani Bruchon posłyszała szmer szybkich kroków, dochodzący z ogrodu.

— Ah! — westchnęła z ulgą — Już był najwyższy czas, aby ten mały się stąd oddalił!

Pułkownik Robert stał już przed nią, wzburzony i zdenerwowany. Uprzejmy uśmiech, którym witał swoich gości, znikł zupełnie z jego twarzy. Oczy jego błyszczały gorączkowem światłem a usta zaciśnięte wyrażały wściekłość, powstrzymywaną siłą.

— No i co? — zapytał krótko.

— Wszystko załatwione, proszę pana — odpowiedziała stara Bruchon.

— Masz depeszę?

— Mam.

— Dawaj prędko.

Drżącą ręką rozwinął papier i przeglądał w świetle lampek elektrycznych, oświetlających ogród.

Po kilku sekundach twarz jego, skurczona nerwowo, przybrała wyraz głębszego zadowolenia i ulgi.

— To, to właśnie! To właśnie, czego tak oczekiwałem — rzucił z odcieniem tryumfu w głosie. — Teraz mogę być spokojny przez przeciąg kilku miesięcy... a przez ten czas...

— A przez ten czas — podchwyciła stara Bruchon — będzie pan mógł wykonać daną mi obietnicę.

Pułkownik uśmiechnął się lekko.

— Masz słuszność — odparł. — Nie sądź, że chcę cię oszukać i nie dotrzymać umowy naszej...

— Dziękuję panu... liczyłam na to.

— Ale teraz odejdź, nie trzeba, aby cię ktoś ujrzał tutaj... Ah! Jeszcze coś...

— Co takiego?

— Czy nie wydarzyło się nic nowego w Belleville odkąd tam nie byłem?

— Nic nowego?... Zapewnie, że nic... ale pan jest tak dobry dla mnie..., że nie mogę nic ukrywać...

— Ah! Cóż takiego? — zawołał pułkownik, zadrżawszy lekko. — Gilberta?

— Może niema w tem nic złego... ale ta mała nudzi się bardzo... Niech pan pomyśli tylko... Jest zawsze sama dzień cały, biedactwo... to nie bardzo zabawne, a przytem, zdaje się, jest ktoś, który obchodzi ją bardzo...

— Mówiła ci to?

— Nie.

— Skąd wiesz zatem?

— Ah! Mój panie! Ja mam tak dobre serce, że nie mogę patrzeć spokojnie na cierpienia drugich — i, kiedy Gilberta błagała mnie o oddanie listu...

— Listu? Ona ci oddała list dla kogoś? Któż to taki?

— Niech pan zauważy tylko ten dziwny zbieg okoliczności. Biedactwo, nie znała adresu tego, do którego pisała i szczęśliwym trafem spotkałam go tutaj, u pana...

— Jerzy! To Jerzy, nieprawdaż? — zawołał pułkownik z wybuchem wściekłości.

Stara Bruchon, zdumiona i zalękniona, potakiwała tylko ruchem głowy.

— Oddała ci list! — ciągnął dalej gniewnie pułkownik — I w tym liście była naznaczona schadzka, czy tak? Ah! Niech się ten szaleniec strzeże! I ona także, jeżeli jest tak, jak przypuszczam. No! Odpowiadaj! Tylko bez wykrętów. Powiedz mi wszystko, ja wiedzieć muszę! Rozumiesz?! Muszę wiedzieć! Oddałaś mu ten list?

— Tak, oddałam — przyznała pani Bruchon — tu, przed chwilą...

— Przeczytał go przy tobie?

— Natychmiast.

— I co mówił?

— Oh! To nie trudne do odgadnięcia! Był bardzo uradowany i pożegnał mnie zaraz.

— Więc to jest schadzka?

— Prawdopodobnie.

— I teraz... może już w tej samej chwili...

Pułkownik nie mógł dokończyć, głos załamał się mu w krtani i dłonie zacisnęły się kurczowo, jak gdyby kogoś niewidzialnego pochwycić chciały.

— Ah! Przekleństwo! — wybuchnął wreszcie. — A ja nie mogę do nich podążyć! Muszę tu jeszcze pozostać godzinę najmniej. Co robić! Mój Boże! Co robić?

Nagle uniósł wysoko głowę i płomień jasny rozjaśnił jego ciemne oczy.

— Tak! Tak trzeba uczynić! — szepnął. — Niema lepszego wyjścia. Niech on uda się na tę schadzkę, niech zapomni o niepokojach i niepewności przy boku Gilberty, ale przysięgam, obudzenie jego straszne! Nie prędko zechce się po raz drugi odważyć na coś podobnego!

Słowa te pułkownik wymówił w zamyśleniu, zdając się zupełnie zapominać o obecności starej Bruchon.

— Czy pan już nie potrzebuje moich usług? — przypomniała się po chwili. — Czy mam już odejść?

— Tak. Powracaj do Belleville, a jutro porozmawiamy swobodnie o tem wszystkiem. Dziś nie należę do siebie, tylko do moich gości.

Pułkownik Robert po tych słowach zwrócił się szybkim krokiem ku willi, a stara Bruchon skierowała się do furtki ogrodowej, z zamiarem wyjścia w stronę Pól Elizejskich, ale zaledwie uszła kilka kroków na ścieżce, kiedy stanęła nagle, wydając okrzyk przerażenia.

O parę kroków siedział na trawniku człowiek, noszący przebranie czarodziejskie. Twarz miał odkrytą i palił spokojnie fajkę, patrząc uważnie na zbliżającą się kobietę.

— Ho! Ho! Nie trzeba się mnie tak przerażać, moja pani — zaśmiał się ironicznie, widząc przerażenie pani Bruchon. — Nie jestem tak straszny, jak może się wydaję, a nie przypuszczam, aby zapach dymu mógł pani zaszkodzić!

Mówiąc to, czarodziej powstał i nałożył maskę, poczem podszedł bliżej do starej modystki i zawołał ze zdziwieniem:

— Oh! Cóż to ma znaczyć? Co pani tu robi, pani Bruchon? Nie przypuszczam, ażeby pani należała do zaproszonych gości pułkownika Robert?

Pani Bruchon cofnęła się zdumiona, widząc, że została poznaną.

— Czego pan chce odemnie? — zapytała, mierząc czarodzieja nieufnem spojrzeniem.

— Oh! Niech się pani nie obawia. Nie myślę pani uczynić co złego, tylko pragnę się dowiedzieć, w jakim celu pani tu przybyła?

— Jakiem prawem zadaje mi pan to pytanie? — odparła z oburzeniem stara.

— Zanadto pani ciekawa! Ale, jeżeli pani tak bardzo na tem zależy, to proszę spojrzeć na ten niewinny kawałeczek kartonu, on panią oświeci dostatecznie.

I równocześnie czarodziej podsunął pod oczy pani Bruchon bilet wizytowy, na którym wydrukowanych było słów kilka.

Pani Bruchon zadrżała z przerażenia. Była to karta ajenta policyjnego.

— A teraz — podjął dobrodusznie czarodziej — czy chce pani wyjaśnić mi cel swojego przybycia tutaj?

— Pan tego żąda? — wyszeptała z trudem stara modystka, nie mogąc oprzytomnieć jeszcze.

— Proszę panią.

— Ale przyrzeka mi pan nie wspomnieć o tem pułkownikowi Robert?

— Przyrzekam.

— Chodzi o kobietę.

— Domyślałem się tego.

— O przyjaciółkę pułkownika.

— Ah! Tak!

— Jest okropnie zazdrosny!

— Ma słuszność, jeżeli go zdradzają...

— Właśnie... Ta kobieta, wiedząc, że on nie może obecnie opuścić swoich gości, umówiła się z drugim swoim przyjacielem...

— Ah! Te kobiety! — westchnął przebrany ajent. — Wszędzie i zawsze te same! I ten drugi przyjaciel znajdował się tutaj na zabawie, czy tak?

— Jak pan to odgadł?

— Nie żyje się od dzisiaj. Więc pani tamtemu oddała bilecik naznaczający schadzkę i podczas kiedy pułkownik zatrzymany jest tutaj obowiązkami swoimi... tamci... się bawią razem! Tak, tak, to nic nowego, a jednak zawsze zabawne! — dodał ajent, śmiejąc się szeroko.

— Rozumie pan teraz — wyrzekła pani Bruchon — że moja obecność tutaj była wytłumaczoną...

— I zupełnie naturalną, pani Bruchon... nie mam w tym względzie nic więcej do powiedzenia. Może więc pani odejść całkiem spokojnie, podczas kiedy ja powrócę do salonu zobaczyć, jak wygląda zdradzony przyjaciel — wyrzekł ajent. Poczem, ukłoniwszy się uprzejmie, podążył ku willi.

Pani Bruchon długą chwilę patrzała za nim, wkońcu wzruszyła ramionami i szepnęła, uśmiechając się ironicznie:

— Możesz iść spełniać swoją służbę, mój przyjacielu, a jeżeli sądzisz, że dowiesz się coś więcej od matki Bruchon, to się bardzo mylisz. Nie z takimi już ptaszkami miałam do czynienia.

I prędko, oglądając się wokoło przesunęła się przez furtkę, prowadzącą na ulicę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



**Z oswobodzonej Galicyi**: Zniszczony przez Rosyan most na gościńcu pod Haliczem. (Fot. „Bufa".)




**Zacięte walki na zachodnim froncie**: Ruiny domów na placu Ratuszowym w St. Quentin, zniszczonych ogniem francuskiej artyleryi. (Fot. „Bufa".)

# Kronika tygodniowa.

Zacząwszy w poprzedniej kronice rzecz o centralach, chcę dalej rzecz tę prowadzić, przyznając autorowi artykułu w *Reichspost* zupełną racyę, iż nazwisk ich współpracowników, tych prawdziwych *dobro*-dziejów ludzkości, nie powinno się ukrywać pod korcem, owszem podać je do publicznej wiadomości, aby ogół wiedział, komu się należy prawdziwa wdzięczność za wspaniałą aprowizacyę.

Nazwiska członków i funkcyonaryuszy różnych „Milesów“, „Pecusów“ i tym podobnych nowotworów wojennych przejść powinny do historyi dla ich zasług cywilnych w wojennym czasie, skoro nie danem im było odznaczyć się z bronią w ręku na polu chwały. Mieli prawo, z racyi swego urzędowania, do tak zwanego „Enthebungu“, czyli uwolnienia od służby wojskowej, zajęcia w każdym razie nieprzyjemnego, niepopłatnego, a przedewszystkiem dość niebezpiecznego.

Warto też byłoby się dowiedzieć, jakie kwalifikacye posiadają ci panowie, bo nie zawsze znajdzie się na przykład tak genialny handlarz rodzynków w pokojowym czasie, któryby podczas wojny znał się na bydle rogatem, a choćby i nierogaciźnie, lub, dajmy na to meblarz, mogący decydować o sprawach, mających związek z agronomią, a nie stolarstwem lub tapicerstwem.

Ale wojna, powiadają, uczy rozumu.

Jestem przekonany, że wśród funkcyonaryuszów rozmaitych centrali spotkalibyśmy się z bardzo wielu jednostkami, które przed wojną nie miały ani pojęcia o tem, czem się dziś, jako „znawcy“ zajmują.

Ponadto należałoby też uwzględnić narodowość, głównie zaś wyznanie, gdyż, nie wiem, dlaczego, ale utarło się już u nas przekonanie, że chrześcijanin nie potrafi być tęgim kupcem lub przemysłowcem, ci zaś, co są nimi, to tylko wyjątki z reguły.

Na czele każdej instytucyi u nas, czemkolwiek ona się zajmuje, stać musi z reguły prawnik, gdyż podobno tylko oni znają się na wszystkiem, mając za patrona świętego Biurokracego, obdarzającego olejem nawet tych, którzy go nie mają. Nic też dziwnego, że rozmaite władze wydają potem rozporządzenia, stanowiące znakomity materyał... dla humorysty.

Zuam wypadek, iż pewien taki pan radził rolnikom sianie jak największej ilości otrąb i grysiku pszennego, inny zaś w piśmie urzędowem ubolewał, iż nie może danemu osobnikowi dostarczyć na razie nasienia makucha rzepakowego, pocieszył go jednak, iż poczyni wszelkie kroki, by go w nie w najkrótszym czasie zaopatrzyć.

Tak działo się przed wojną, materyałem z czasów wojennych, niestety, nie rozporządzam, nie wątpię przecież, że podobnych „kwiatków“ znalazłoby się więcej.

Pozatem mają centrale jeszcze jedną wadę. Są one rzekomo utworzone na to, by regulować rozdział danego artykułu, niezbędnego do życia codziennego i uczynić go równomiernym dla wszystkich, tymczasem dzieje się wprost przeciwnie, tak, że można śmiało powiedzieć, iż są to właściwie przedsiębiorstwa, mające na celu eksport na zachód, jak gdyby okolice, na wschód położone, nie potrzebowały przez cały rok jeść, a w zimie się grzać, byle tylko mieszkańcy zachodnich prowincyi byli syci i nie dokuczało im zimno. Ustaliła się też opinia ogółu, że wszystko, do czego rękę przyłoży centrala, ginie nagle z horyzontu jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tak było z tłuszczami w Krakowie, których nie można było dostać nawet na lekarstwo, choć się miało kartę poboru, całkiem prawomocną. Wnet przecież wylazło szydło z worka i dało sposobność Namiestnictwu do wystąpienia w obronie naszych zagrożonych interesów żołądkowych. Okazało się mianowicie, iż miejscowa centrala przydzielała tylko tym firmom wieprze do bicia, które wywoziły wyroby masarskie do Wiednia. Dzięki temu — robi słuszną uwagę „Kuryerek“ — kontyngent, wyznaczony dla Krakowa, ginął w obcych żołądkach, a zarobek w bezdennych kieszeniach interesowanych.

Namiestnictwo jednak swoje, a masarze swoje. Namiestnictwo zakazało wywozu wyrobów masarskich z Krakowa, oni zaś odpowiedzieli, że wobec tego będzie jeszcze gorzej, niż dotąd było, gdyż wogóle nie uświadczy w mieście żadnego tłuszczu, albowiem teraz wysyłać będą na Zachód surowy towar. Gdy tutaj przygotowywali wyroby swe dla Wiednia, dla Krakowa zostawały bodaj jakieś resztki „z pańskiego stołu“, a tak, to i tego nie będzie.

Ani rusz więc myśleć o tem, by sobie można było wymaścić żywot. Trzeba to odłożyć na czasy powojenne.

Również bardzo troskliwą o dobro Galicyi jest inna centrala, zajmująca się rozdziałem paszy. Wysłała ona do krajowego Urzędu gospodarczego przy galicyjskiem Namiestnictwie pismo pouczające, iż, z powodu posuchy, należy racye siana, przyznane producentom na wyżywienie inwentarza, zmniejszyć, przyczem faworyzowane są szczególniej czworonogi miejskie, gdy tymczasem wiejskie, z wyjątkiem pociągowych, przez większą część roku skazuje się na dyetę ścisłą, ograniczając ich pożywienie do pastwisk i do siana z liści.

Jak jednak wówczas będzie wyglądało to mleko, którego Galicya ma dostarczać Zachodowi?...

Najpiękniej brzmi zakończenie odezwy:

„Podobny wniosek przedkłada się równocześnie Zakładowi dla wyżywienia ludności we Wiedniu z prośbą o spowodowanie również i w innych krajach koronnych zmniejszenia racyi siana dla ...cywilnej ludności“.

O ile wiem, to ludności cywilnej siana jeść nie wolno, by go nie brakło dla czworonogów, stanowiących majątek danego kraju, wyjątek stanowi jedynie młoda koniczyna, o ile się jej używa zamiast szpinaku, więc z dodaniem śmietany i jajka. (W tem miejscu wolno każdemu z P. T. Czytelników łyknąć ślinkę, albo nawet i oblizać się na samo wspomnienie tych specyałów).

Homeopatyczne dawki, proponowane przez Centralę pasz dla bydła galicyjskiego (ciekawy jestem, dlaczego znowu Galicya ma dawać dobry przykład?...) doprowadzą do tego, że trzeba będzie większą część, jeżeli nie wszystko, oddać na rzeź, a wówczas będzie i wilk syty i owca cała. Centrala pasz nie będzie płakać, że jej krowy i konie zjadają siano i słomę, a Centrala obrotu bydłem rzeźnem będzie miała dość materyału, nadającego się pod nóż celem zaspokojenia apetytów, ale nie naszych.

A możnaby może obrać drogę pośrednią i spróbować sposobu, jakiego użył jakiś przemyślny woźnica, który sprawił swemu koniowi zielone okulary i dawał mu do jedzenia wióry drzewne, a konisko jadł, bo myślał, że to trawa! Niestety, napotyka się i tutaj na trudność nie do pokonania, gdyż wiór drzewnych nigdzie się nie dostanie, przeznaczone są bowiem jako dodatek do... wypieku chleba. naturalnie po należytem zmieleniu.

I mógłbym o tych sprawach pisać jeszcze długo i szeroko, bo materyału nie braknie, wolałbym przecież, by znalazł się jakiś prawdziwy dobroczyńca ludzkości, który uwolniłby nas od tej zmory, jaką są wszelakiego rodzaju centrale. Należałoby tylko założyć „Centralę wszelkich centrali“, co równałoby się, jak to wiemy z doświadczenia, końcowi ich opłakanego żywota. Nazywam go opłakanym, gdyż płaczą nań ludzie, a płakałyby i wszelkie inne stworzenia, gdyby tylko płakać umiały!...

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga, zdaje mi się nie bez racyi.

Galicya uważana jest przez Wiedeń i prowincye zachodnie za kraj nieproduktywny, który reszcie państwa nie przynosi żadnych korzyści, a przysparza tylko kłopotów, bo raz zachciewa mu się jakichś kanałów, to znów wyodrębnienia i t. d. Tak się i mówi i pisze, a tymczasem owe „Centrale“ są widocznie zupełnie innego zdania, skoro swą „pracę“ zaczynają stale od Galicyi i jej największą poświęcają uwagę. Choć tyle skorzystaliśmy więc na wojnie, że naszemu krajowi udało się nareszcie wybić na pierwsze miejsce, ale... tylko pod względem rekwizycyi. I to przecież coś znaczy, zadaje bowiem kłam temu wszystkiemu, co o Galicyi mówią i piszą jej „przyjaciele“. Jeśli jest tak nieproduktywną, to czegóż się tutaj szuka, a jeżeli się szuka, to widocznie nie jest taką, za jaką ją okrzyczała zwłaszcza prasa wiedeńska.

Ostatnie posiedzenie Rady miasta Krakowa poświęcone było prawie w całości sprawom aprowizacyi, niestety, utknięto na węglach, resztę zaś pozostawić musiano na późniejsze czasy, gdy ojcowie miasta, bawiący na wakacyjnych wywczasach, powrócą już pod domową strzechę. Nastąpi to niebawem, gdyż wakacye już się kończą i młodzież, a z nią i starsi, zjeżdża już do Krakowa, by tutaj czerpać z krynicy wiedzy, która także cierpi skutkiem wojny, gdyż wszelakie podręczniki muszą podrożeć ze względu na podwyższenie cen papieru, druku i t. d. Niejeden ojciec, o ile *nota bene* nie jest jakimś dostawcą, będzie się więc skrobał po głowie i narzekał, że to zamach na jego kieszeń. Ale trudno, jak wojna, to wojna! Wszyscy muszą ją odczuć, tak ojcowie rodzin, jak i bezdzietni kawalerowie. Cierpienia i kłopoty, ze względu, że nie mają łączności z żadną centralą, bywają, właśnie dlatego, na wszystkich równomiernie rozłożone.

Na ogół wakacye były przyjemne, dopisała bowiem pogoda, choć nieraz dokuczało gorąco, a często głód i pragnienie, jeżeli kto nie był tak przemyślnym, by, wyjeżdżając na wieś. zaopatrzyć się, jeśli nie w artykuły spożywcze, to przynajmniej w środki pomocnicze do ich uzyskania, więc w tytoń, cukier i tym podobne. W letniskach i uzdrowiskach było dość Krakowian obojga płci i bez różnicy wyznania, z przewagą przecież na stronę wyznania mojżeszowego, wyposażonego daleko lepiej od reszty zjadaczy codziennego chleba. Bawiono się dobrze, robiono nawet na świeżem powietrzu interesy, ale teraz taki już duch czasu, że każdy chciałby wciąż kupować i sprzedawać, byle tylko dorobić się majątku, choćby nawet z krzywdą bliźniego.

Aby zaś można z tego majątku należycie korzystać, na to trzeba końca wojny i o to proszą Boga, ale nie wszyscy, tylko ci, którzy uznali, że mają już dosyć. Nota pokojowa, jaką papież Benedykt rozesłał do mocarstw wojujących i do państw neutralnych, napełnia ich otuchą, że pokój już niedaleki i że nadejdzie przecież czas, gdy można będzie zacząć używać owoców swej pracy, jeśli ich spekulacye wogóle pracą nazwać się godzi.

Politycy są przecież innego zdania i każdy *ex re* owej noty wyraża inne zapatrywanie. *Quot capita, tot sensus*, a zabierają głos nawet ci, którzy wogóle nigdy głowy nie mieli, albo zadowalniali się najzupełniej jej połową. W Austryi i Niemczech spotkała się ona po dobno — tak przynajmniej twierdzą pisma polityczne — z sympatycznem przyjęciem, Anglia i Francya na razie nie wypowiedziały swego zdania, czekają widocznie na decyzyę wujaszka Wilsona, który objął batutę kapelmistrza w zespole koalicyjnym. Zawzięcie milczy też król Nykita z Czarnogóry i król Piotr, ale tylko z tego powodu, iż ich się o zdanie nikt nie pyta. Rosya ma dość kłopotu z swą rewolucyą, by się tem miała zajmować, zresztą za nią myśli i mówi rząd angielski i pan Buchanan, który miał już ustąpić, a przecież dotąd siedzi i liczy, ile to z państwa rosyjskiego ma powstać różnych republik.

Kronikarz także nie wypowiada w kwestyi owej noty swego światłego zdania, ale nie dlatego, iż nikt go o nie nie pyta, tylko z tej przyczyny, iż wie, że choćby głos i zabrał, to się to na nic nie zda, bowiem zawodowi politycy zrobią zawsze tak, jak im się podoba, nie oglądając się bynajmniej na obcą radę. Nie ulega przecież kwestyi, że wojny mają już wszyscy dość, że wiec należałoby się chwycić pierwszej lepszej deski ratunku, mogącej zanieść do portu pokojowego. a tą jest właśnie owa nota. Każda jednak ze stron walczących, choć miałaby może i ochotę, boi się pierwsza odezwać, by ją przypadkiem nie posądzono o słabość i wyczerpanie. Bo w polityce dzieje się tak samo, jak w małem miasteczku, gdzie żadna z pań nie chce być pierwszą na sali balowej, bo to nie *comme il faut* i trzeba dopiero użyć podstępu, by je tam sprowadzić. Gdy więc przyjdzie się zapytać służąca od pani sędziny, czy jest już która z pań, powiada się jej, że jest pani aptekarzowa, jej zaś wysłanniczce mówi się, że jest pani sędzina i nagle schodzą się wszystkie damy, jakby na zawołanie.

Gdyby ten podstęp udało się i tutaj zastosować i gdyby znalazł się, kto potrafiłby się tem zająć, byłby to jedyny kandydat do nagrody pokojowej Nobla.

A szkoda byłaby wielka stracić sposobność, jaka może nie tak prędko się znów nadarzy. trzeba zaś pamiętać, że zima już za pasem, a powiedziano, iż wojna w czwarty okres zimowy nie wejdzie.

Jeżeli więc politycy, ci na wielką skalę, mają głowy, a w nich olej (chyba, że uległ rekwizycyi!...), niechaj tak znowu zamącą wodę, by z niej wypłynęło porozumienie ogólne, bo sposobność jest, a naprawią w ten sposób swą winę, jaka na nich ciąży iż wywołali tę bratobójczą wojnę i stali się moralnymi sprawcami zniszczenia, jeśli nie całego świata, to bodaj większej części Europy.

Na razie więc możemy tylko czekać następności która, jak powiedział pewien filozof „nigdy gorszą być nie może“. Wobec tego nic nam nie przeszkadza w uczęszczaniu na przedstawienia operetki w Teatrze ludowym, gdzie prawdziwe tryumfy święci pani Miłowska, która za jednym zamachem zdobyła sobie sympatye całego Krakowa. Taką ofenzywą, jaką przeprowadziła na krakowskim odcinku, nie potrafiłby się poszczycić niejeden w bojach posiwiały wódz, z pogardą śmierci spoglądający w nienasycone paszcze armat, gdy natomiast ulubienica Krakowa widzi przed sobą tylko uśmiechnięte i rozradowane oblicza audytoryum, zapominającego pod jej wpływem bodaj na chwilę o troskach życia codziennego, centralach i aprowizacyjnych kłopotach. Mówiono przedtem, że Kraków nie może się obejść bez opery, ja zaś przychylam się raczej do zdania, że potrzebniejszą mu była operetka, czego dowodem, iż teatr na każdem przedstawieniu wysprzedany.

Inna znów część Krakowian, choć nie brak między nimi i jeńców, wziętych w niewolę przez p. Miłowską, uczęszcza stale na popisy w grze piłką nożną, gdzie dotąd zwykła święcić tryumfy *Cracovia*. W każdą niedzielę na boisku pełno, są nawet tak fanatyczni zwolennicy tego sportu, iż i w czasie deszczu gotowi są śledzić przebieg walki, żal im tylko, że wówczas, trzymając deszczochron w jednej ręce, z trudnością mogą darzyć grających zasłużonymi oklaskami.

## Z oswobodzonej Galicyi.

Ostatnie walki na wschodnim froncie uwolniły wprawdzie prawie całą Galicyę wschodnią od inwazyi rosyjskiej, pokryły jednak ten nieszczęsny kraj nowemi zgliszczami i ruinami. Wiarygodne świadectwo, co przecierpiała Galicya wschodnia, będąca terenem ciągłych walk, podaje „Gazeta Wieczorna", która zamieszcza informacye, jakie uzyskała od namiestnika hr. Huyna, odnośnie do miejscowości oswobodzonych niedawno z inwazyi nieprzyjacielskiej. Oto ich brzmienie:

„Wyjechałem w piątek, dnia 10. b. m. — mówił hr. Huyn — ze Lwowa w towarzystwie kierownika Centrali odbudowy kraju szefa sekcyi Herbsta, szefa oddziału technicznego Centrali r. dw. Ingardena i kom. pow. Gałuszki. Przybyliśmy najpierw do Złoczowa, skąd droga prowadziła przez Płuchów, który jest zupełnie zniszczony do Zborowa. Biedne miasteczko prawie nie istnieje. Niewymownie przykre wrażenie wywierają ruiny i spaleniska. Ludność, która się jawiła, opowiada o przebytych walkach, o ostrzeliwaniu miasteczka i swoich cierpieniach. Tego samego dnia jeszcze po południu wyjechaliśmy do Tarnopola przez Jezierną. Znowu obraz zniszczenia, lewa część miasteczka spalona, wszędzie widnieją ślady ostatnich przejść.

Przeżycia ludności Tarnopola trudno nawet w przybliżeniu opisać. Tu również zastałem na posterunku kierownika starostwa sekretarza nam. Friedricha, dobrze zoryentowanego w sytuacyi, który idąc za wskazówkami, zrobił wszystko, co było w mocy jego. I tu przekonałem się także, że inicyatywa moja obejmowania powiatów oswobodzonych przez starostów spotyka się nie tylko z uznaniem ludności, lecz co więcej, ludność ta odnosi się do nich z pełnem zaufaniem, wierząc, iż ożywieni są najlepszemi chęciami ulżenia ich doli. Kierownikowi starostwa poleciłem, aby dawał zasiłki wojskowe i zajął się energicznie sprawą świadczeń wojennych.

W Tarnopolu nocowaliśmy przy akompaniamencie strzałów, które było ustawicznie słychać. Stamtąd miałem zamiar udać się do Zaleszczyk. Po drodze wstąpiłem do Mikuliniec, gdzie gospodarstwo hr. Reyowie, którzy przebyli całą inwazyę, opowiadali ciekawe szczegóły o stosunkach agrarnych które przedstawiają się bardzo smutno. Przybyliśmy do Trembowli, znowu spalonej i zniszczonej, gdzie urzęduje już starosta Rudnicki. Nadmienić muszę, że wszędzie przybycie nasze było nieoczekiwane, gdyż z powodu trudności komunikacyjnych nie uprzedzaliśmy nikogo o tem. Okólną, zwykłą polną drożyną jechaliśmy na Czortków przez Wiśniowczyk do Buczacza, gdyż chciałem zobaczyć najbardziej urodzajny szmat ziemi podolskiej. Umyślnie też jechaliśmy wśród małych wiosek, śledząc pilnie stan plonów tego rocznych. Jakże smutnie przedstawia się ta niegdyś bujna i kipiąca życiem połać kraju! Całe wioski po znikały z powierzchni ziemi, czasem nawet śladu po nich niema, gdyż tu właśnie toczyły się jedne z najbardziej zaciętych walk z armią rosyjską. Tędy wiła się ufortyfikowana i uporczywie broniona linia rosyjska, którą nareszcie wojska nasze przełamały. — Przestrzeń od Tarachowa do Wiśniowczyka (10 kilometrów) jest jak jedna wielka pustynia; przez całą drogę myślałem, jak trudno będzie zabrać się tu do odbudowy rolnictwa. Wszędzie trzeba będzie zrównać ziemię, a potem używać pługów parowych, aby orać głęboko. Wielką w tem wszystkiem trudność nastręczać będzie brak środków transportowych, oraz dowóz węgla. Wszystkie jednak te trudności — o ile to tylko leży w mojej mocy — pokonane być muszą, gdyż wymaga tego dobro kraju, a także i ludność i tak już wycieńczona trzyletnią wojną.

W Buczaczu, gdzie z całego kwitnącego dawniej miasta ocalał jedynie dawny piękny ratusz, oraz kilka domów, wewnątrz zupełnie zrabowanych, starosta Dniestrzański i tamtejszy burmistrz udzielił informacyi, tyczących się miasta i jego ludności. Z Buczacza przyjechaliśmy do Czortkowa. Naokoło pola leżą odłogiem, a samo miasteczko nie jest zniszczone, domy tylko uległy rabunkom. Przez Tłuste, w połowie zniszczone, dostaliśmy się wreszcie do Zaleszczyk. Dwie trzecie miasta w ruinie, szczególnie rynek wywiera smutne wrażenie. Zaleszczyki, nazwane dawniej „Meranem galicyjskim", dziś gruzami swymi świadczą o tem, co przeszły. Kierownik starostwa Nowakowski udzielił nam informacyi. Tymczasem dowiaduję się, że most na Dniestrze nie istnieje, kapitan pionierów austryackich donosi, iż kompania jego właśnie most przez Dniestr rozebrała. Okrężna droga do Kołomyi wynosiłaby około 120 kilometrów, to też zadecydowało, że skorzystałem z propozycyi kapitana, który obiecał, że wieczorem napewne mają nadejść pontony, tak, że do rana prowizoryczny most będzie gotowy. Wobec tego musieliśmy zanocować.

Rano most gotowy. O g. 6 i pół przejechaliśmy Dniestr i stanęliśmy w Horodence. Wszystko popalone. Ten sam smutny obraz, jakich widzieliśmy tyle. Kierownik starostwa, sekretarz nam. Strzelbicki, przedstawił urzędników administracyi politycznej, poczem jawiły się znowu deputacye, przedkładając szereg próśb.

W Śniatynie, który również jest spalony, ale ziemia okoliczna lepiej jest uprawiona, informowaliśmy się o stosunkach u kier. starostwa kom. pow. Łodyńskiego i burmistrza miasta Niemczewskiego. Również i w Kołomyi zasięgnęliśmy informacyi od pracującego tam kierownika starostwa kom. pow. Agopsowicza i posła do Rady państwa Kleskiego.

Przez Delatyn, Nadwórnę, Bohorodczany podążyliśmy do Stanisławowa, gdzie przybyliśmy o godzinie wpół do 10-ej wieczorem. Przekonałem się, że miasto bardzo ucierpiało; jedna czwarta część leży w gruzach i perzynie.

Od rana naturalnie odbywały się audyencye, konferencye ze starostą L. Zawistowskim i innemi wybitnemi osobistościami tego powiatu. O godz. 1.30 przez Halicz i Rohatyn udaliśmy się w drogę powrotną do Lwowa, gdzie stanęliśmy o godz. 11-ej w nocy. Towarzyszący nam panowie: Herbst i r. dw. Iagarden wraz ze mną informowali się szczegółowo o potrzebie pomocy i odbudowie zniszczonych budowli i przyjścia z pomocą nieszczęśliwej ludności".

Reasumując swe spostrzeżenia, powiada wkońcu namiestnik:

„Obraz zniszczenia, jaki przedstawił się moim oczom, jest doprawdy tak olbrzymi i do głębi wstrząsający, że ocenić go może tylko ten, kto te okolice widział. Opisy przygodnych korespondentów i sprawozdawców nie mogą ani w części przedstawić nie znającym tych stosunków niedoli ludzi i wyniszczenia pięknej ziemi, dziś niemal co krok ziejącej pustką".

# Z tygodnia.

## Polskie siły zbrojne w Rosyi.

„Gazeta Polska" w Moskwie zamieściła w numerze 166 z dnia 12—25 lipca komunikat nr. 2 „Polskiego Wojskowego Komitetu Wykonawczego" następującej treści:

„Główny Zarząd Generalnego Sztabu (rosyjskiego) dnia 4. lipca b. r. nr. 28 082 wydał rozporządzenie o ugrupowaniu życzących sobie tego Polaków wojskowych w oddzielne kompanie (roty) i oddziały dla skierowania ich w miejsce tworzenia się siły zbrojnej polskiej. Odpowiednie rozporządzenia zostały wysłane do wszystkich okręgów wojskowych, zaś kopie rozporządzenia do Związków wojskowych Polaków.

Piotrogród, 8. lipca 1917 r."

Do tej wiadomości należy dodać — pisze „Gazeta Polska" — że do 15. czerwca st. st. zgłosiło się do wspomnianych kompanii 320 000 żołnierzy narodowości polskiej, służących dotąd w wojsku rosyjskiem. Po ogłoszeniu powyższego rozporządzenia wzmaga się liczba zgłaszających.

## Artyści-malarze dla armii.

### Siła zbrojna Austro-Węgier w czasie wojny.

(Komunikat Biura pras. Min. wojny.)

Po krwawych szlakach wojny wędrowała także i sztuka, pragnąc uwiecznić tę straszną i gigantyczną epopeję. Także ona starała się znaleźć swoisty wyraz, uwiecznić to olbrzymie zjawisko dziejowe — bez skutku. Wysiłki jej równają się budowaniu tam i murów obronnych przeciw prądowi płonącej lawy wulkanu: nie wiadomo bowiem nigdy, skąd lawa nadejdzie, a często pokonuje ona każdą przeszkodę i niesie śmierć i zniszczenie na kwitnące pola. Sztuka miała zniszczeniu wojny dać plastyczny wyraz w barwach i kształtach. Któż jednak potrafi zmieścić na kawałku płótna gigantyczną treść światowej walki?

Zagadnienie malarstwa wojennego w czasach przeszłych było jasne i nieskomplikowane. Dla naszych, obecnych pojęć nie były ówczesne wydarzenia wojenne bitwami, lecz rycerskimi turniejami, prowadzonymi nie tylko kopią, ale i prymitywną bronią palną; na koniu, ze wspaniałym gestem dumy uderzały na siebie nieprzyjacielskie grupy, z rozwiniętymi sztandarami wjeżdżały one tryumfalnie do miast — wszystko obrazy, które dla artysty przedstawiały poprostu problem kopii. Obecna wojna zaś jest niewidzialną, toczy się właściwie w powietrzu, podczas gdy na wielkich polach bitw podnoszą się tylko od czasu do czasu pojedyncze grupy żołnierzy na parę sekund, aby za chwilę znowu zniknąć. Walczy się pod ziemią, pod wodą, w nocy — sytuacye dla palety nie do uchwycenia.

Wkońcu udało się jednak znaleźć ramy, w których sztuka mogła zobrazować wojnę. Pędzel nie może wprawdzie już tworzyć malarskich powieści i epopei, gdyż na to jest zakres wojny za wielki. Ale na płótnie powstają plastyczne opisy poszczególnych epizodów, bohaterskie poematy. Stosownie do swoich właściwości artystycznych, znalazł każdy z naszych wielkich artystów sposobność przedstawienia waleczności naszej c. i k. siły zbrojnej, jej heroicznych czynów. W ten sposób powstał szereg obrazów, o treści, związanej ściśle z naszemi ucziami, pogłębiających nasz podziw dla czynów dzielnych obrońców ojczyzny.

Prasowe Biuro c. i k. Ministerstwa wojny przedsięwzięło pod kierownictwem swego komendanta, Aleksandra Elmera, w uzupełnianiu swej rozległej propagandy także organizacyę pracy artystycznej w tym kierunku. Jako wynik tej działalności rozsyła prasowe biuro obecnie pierwszą seryę artystycznych reprodukcyi dzieł najlepszych naszych malarzy. „Hołd sztuki dla c. i k. armii", oto pierwszy cel tej seryi, podniesienie patryotyzmu w kraju; drugim jest zdobycie należytej opinii dla c. i k. armii za granicą. Każdy chętnie przyzna, że cele te osiągnięto najlepszymi środkami. Doskonałe reprodukcye wykonano po cenach, które każdemu umożliwiają nabycie ich i złożenie w tej formie długu wdzięczności okrytym sławą obrońcom kraju.

Jest rzeczą jasną, że na pierwszym planie tego dzieła („Oficyalny zbiór obrazów: Siła zbrojna Austro-Węgier w czasie wojny światowej") stoi portret naszego popularnego monarchy. Żywy koloryt i szlachetne ujęcie charakteryzują wykonany przez B. Czedekowskiego obraz monarchy w mundurze marszałka polnego. Wspaniałym jest portret monarchy na koniu i ze świtą prof. Kocha. Czedekowski jest również autorem biustowego portretu cesarza z wdzięcznym wyrazem ludzkiej dobroci na twarzy. Powszechne zajęcie wzbudza dużej artystycznej wartości obraz prof. Bertholda Loefflera, przedstawiający pokój, w którym umarł ś. p. cesarz, pejsaż wojenny na tle Ortlera M. Porocha, H. Bouvarda „Siła tronowa w konaku", Zwickle'go „Strzelcy krajowi na zdobytem stanowisku", żywa scena masowa „Zdobycie Belgradu" znanego illustratora Assmanna, wspólny twór Zwickle'go i Hollitzera „9. pułk huzarów pod Limanową". Pełen nastroju jest obraz pracowitego Zwickle'go „Modlitwa strzelców tyrolskich", a silnym w wyrazie „Kapitulacya Serbów", wysoce utalentowanego Rolanda Strassey'a. Wasemann, ze Związku Dürera, reprezentowany jest szczęśliwie „Marszem honwedów", B. Juszko „Pościgiem kozaków". Wreszcie zawiera serya dwa mistrzowskie reprodukowane obrazy Schattensteina „Boroevic" i „Sztab jeneralny armii nad Soczą przy pracy".

Jak zatem widzimy, przedstawia się początek akcyi wprost świetnie. Donoszą nam, że każda nowa serya przyniesie szereg artystycznych niespodzianek. Piękną jest doprawdy ta praca, którą prasowe Biuro c. i k. Ministerstwa wojny podjęło dla armii i dla patryotycznego i artystycznego wychowania młodzieży.

Nadzwyczaj niska cena tych artystycznych reprodukcyi — waha się między 3 a 6 koronami za obraz — przyczyni się z pewnością do tego, że te dokumenty świetnych czynów c. i k. armii znajdą się w każdym domu naszego rozległego kraju.

## Z półek księgarskich.

**Facecye z dawnej Polski.** Z dawnych kronik zebrał, opracował i tłumaczył Teodor Tyc. Poznań. Nakładem Spółki wydawniczej „Ostoja". Czcionkami Drukarni „Pracy".

Zbiorek polskich powiastek średniowiecznych, barwne *quodlibet* najróżniejszych anegdot, mirabiliów, epizodów, z których jedne są przywoźnym towarem, niektóre przedstawiają sie jako prawdziwe wypadki i zdarzenia, zniekształcone nieco w fantazyi ludu, inne znów na literackie pomysły zakrawają. Wybór ich obfity i starannie dobrany, przenosi Czytelnika myślą w dawne, lepsze czasy i może stanowić przyjemną i pożyteczną lekturę dla każdego.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

# Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 331.

ANTONI CHOŁONIEWSKI

## Duch dziejów Polski

**na tle chwili dzisiejszej.**

TREŚĆ:

Wstęp. Idea życia zbiorowego. Naród i król. Szlachta polska. Unie. Swobody jednej warstwy. Tolerancya wyznaniowa. Prawo i życie. Wojny polskie. Szerzycielka wolności. Wyprzedzenie Europy. Upadek państwa. Duch dziejów Polski na tle chwili dzisiejszej.

**Cena K. 2·50.**

Do nabycia w Administracyi „Głosu Narodu“, we wszystkich księgarniach i w Towarzystwie Szkoły Ludowej w Krakowie (Floryańska 15), które wysyła egzemplarze pojedynczo po nadesłaniu należytości lub za zaliczką pocztową oraz większe ilości do księgarń za gotówkę z opustem.

## Branzoletka z zegarkiem i szkłem ochronnem

**Radiowa tarcza świecąca.**



Branzoletka z zegarkiem i rzemykami, duży format K 10·—. Radiowy K 14·—. Branzoletka z zegarkiem, mały format K 16·—, 18·—, radiowy K 20·—, 22·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Amalfa K 30·—, radiowy koron 10·— więcej, z szkłem ochronnem K 2·— więcej. — Wojenny zegarek z dobrym werkiem Anker kor. 10·—, I. jakości K 15·—, 20·—, 24·—, prawdziwy srebrny K 30·—. Budzik kieszonkowy K 40·—, radiowy K 50.—. Wojenny budzik niklowany 20 cm, wysoki K 10·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie i porto opłacone do całych Austro-Węgier i w pole wysyła **I-szy skład zegarków wojennych**

**Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.**

Oryginalny cennik fabryczny darmo.

**Nowość!** Kieszonkowa lampa dynamo (bez bateryi) 24 koron **Nowość!**

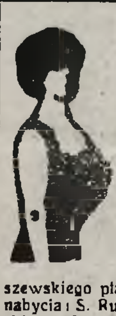
## W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

## Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

**(Kalendarz z 1916 roku).**

Cena: oprawne w płótno 3 kor., w karton 2 kor., broszurowane 1·50 kor.



**Pewny skutek.** Tysiączne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** — Stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 4·—, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 9·—. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-prep **Wiedeń IX, Lakierg. 6/F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 35. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. K. Miklaszewskiego plac Dominikański. Bękner, Długa 4 **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, ul. Krakowska. Apteka Rafaela, ul. Gołuchowskiego. Perfumerya Sładowskiego. **Tarnów:** Droguerya Bracha. **Bielsko:** Droguerya Połaczka Kolejowa **Lublin:** Perfumerya Stankiewicza. **W Białej:** Drogerya Tanewskiego.

Mimo wojny i kolosalnej drożyzny sprzedaje firma

## IGNACY CYPRES,

KRAKÓW, ulica Szewska 13/51



towary po nadzwyczajnie tanich cenach. 1 Brytania Anker-Remont system Roskopf 36 godz. idący, z łańcuszkiem kor. 12·50. Ameryk. elektr. złoty Remont. syst. Roskopf 36 godz. idący, z pięknym łańcuszkiem kor. 15·50. Srebrny Roskopf o 3 kopert. bardzo silny kor. 33·—. Stalowy damski Remont. kor. 21·—. Budzik najlepszy kor. 11·—. Łańcuszki srebrne od kor 5·—. Harmonie od kor. 12·— do 50·—. Skrzypce ze smyczkiem od kor. 14 do 50.

**Cenniki darmo i opłatnie.**

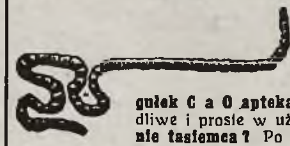
Żądaj wszędzie i prenumeruj

## „Przegląd Światowy“

**miesięcznik, poświęcony wszystkim gałęziom wiedzy.**

**Około 1000 illustracyi i 120.000 wierszy druku rocznie.**

Wychodzi 15-go każdego miesiąca. W krótkim czasie rozpoczynamy druk „Illustrowanej Encyklopedyi Podręcznej“ jako bezpłatnej premii dla Prenumeratorów „Przeglądu Światowego“. Prenumerata roczna kor. 40·—, półroczna kor. 20·—. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowa Górnicza, ul. Sienkiewicza 21.



## Tasiemiec

wraz z głową bez trudu szybko i pewnie usunięty zapomocą **pigułek C a O aptekarza Vértes'a.** Zupełnie nieszkodliwe i proste w użyciu. **Poczem poznaje się istnienie tasiemca?** Po tem, że sprawia rozmaite dolegliwości temu, kto posiada, jak: kolki i kurcze żołądkowe, uczucie parcia w trzewiach, jak gdyby kłęby cisnęły się aż po gardło, wiatry i upławy, sączenie się w kiszce stolcowej, napady zawrotów głowy, brak apetytu naprzemian z wielkim głodem, znużenie i niechęć do pracy, obfite wydzielanie śliny, gorzkie odbijanie się itp. Jako zewnętrzne oznaki należy wymienić: sino obwiedzone oczy, osobliwa bladość skóry, blada twarz, obłożny język, chudnienie, nadęty żołądek. — Przy zamówieniach należy podać wiek osoby. 1 puszka **C a O pigułek** K 9·30 franko (opłatnie). Do nabycia u **L. Vértes'a apteka pod „Białym Orłem“, Lugos 741, Banat.**

## Potrzebny maszynista i zecer do drukarni Nowości illustrowanych

## Przybory do golenia

**dobre i tanie** poleca

### IGNACY CYPRES

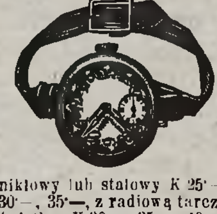
KRAKÓW, ulica Szewska 13/51

Brzytwy po K 2·50, 3·50, 5 do 8. Aparaty do samogolenia 9 do 12 K. Pas do obciągania brzytwy K 2·50 do 3·50. Kamienie do brzytew K 1·50 do 3·50. Maszynki do włosów K 12·—. Dyamenty do szkła K 14·— do 20·—. Zapalniczki K 3·— do 7·—.

Wysyłka za pobraniem pocztowem. Za nieodpowiednie zwracam pieniądze.

## Wojenny zegarek z branzoletką

dokładnie zregulowany i obciągnięty



niklowy lub stalowy K 25·—, 30·—, 35·—, z radiową tarczą świetlną K 30·—, 35·—, 40·—. Zegarek remontoir z perłową masą K 30·—, 35.—. Srebrny zegarek z branzoletką kor. 50·—, 60·—. 14-sto karatowy złoty zegarek z branzoletką K 130·—, 160·—. Na każdy zegarek 3-letnia pisemna gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

I-sza fabryka zegarków

**Hanns Konrad**

c. i k. nadw. dost. w Brüx Nr 1570 (Czechy)

**Główny katalog** darmo i opłatnie

## Administracya Nowości illustrowanych

**wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:**

a) **„Wojenny Balonik“**

**Wacława Grabiańskiego**

cena 1 kor

b) **„Po ślubie“**

**Artura Gruszeckiego**

cena 4 kor.

Na porto polecone nadsyłać należy dla *a)* 50 hal., dla *b)* 70 hal.

Za wysyłki niepolecone Administracya nie odpowiada. — Za zaliczką nie wysyła się.

## KINO-WANDA

**przy ulicy św. Gertrudy L. 5.**

## Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

## Instrumenta muzyczne

**dobre i tanie** poleca

### IGNACY CYPRES

KRAKÓW, ulica Szewska 13/51

Skrzypce ze smyczkiem K 12·—, 18·—, 25·— do 70·—. Futerały K 13·—. Harmonie w różnych gatunkach K 20·—, 30·—, 40·— do 70·—. Klarnety 5 klap. K 20·—, 8 klap. K 26·—, 10 klap. K 30·—. Trąby akordeonowe po K 6·— 7·—, 8·—. Harmonijki ustne K 2·50, 4·—, 5·50.

Wysyłka za pobraniem pocztowem. Za nieodpowiednie zwracam pieniądze.

## Bezpłatnie



otrzyma każdy na życzenie mój katalog główny zegarków, złotych, srebrnych towarów i instrumentów muzycznych. Skrzypce po kor. 14·—, 20·—, 25·— i wyżej. Dobra harmonijka kor. 16·—. 25·—, 35·—, 50·—. Dwurzędowa harmonijka koron 70·—, 80·—, 100·—, 120·—. Trzech rzędowa harmonijka koron 180. 200, 240, 280. Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy. Wysyłka za zaliczką lub poprzednim nadesłaniem pieniędzy przez

**dom wysyłkowy**

**HANNS KONRAD**

**c. i k. nadworny dostawca Brüx, Nr. 1746 Czechy.**

## Kupuję i sprzedaję



**złoto, srebro, brylanty, perły, wszelką biżuteryę nową i antyczną, zegary i zegarki oraz sztuczne zęby. Płacę najwyższe ceny.**

**Zakład zegarmistrzowski i jubilerski**

**J. Cyankiewicz, ul. Sławkowska 24.**



## Każda kobieta

czyta moje bardzo interesujące pouczenia nowoczesnego

**pielęgnowania biustu.**

Cenne porady dla niemających biustu. — Piszcie z zaufaniem do

**IDA KRAUSE, Pressburg (Węgry), Schanzstrasse 2, Oddział Nr. 10.**

Nic nie kosztuje.

## Różowe policzki



i usta naturalnej piękności po użyciu jedynie dobrej i zupełnie nieszkodliwej dr. A. Rixa **wody różanej** (do mycia). Nikt nie pozna, pomimo wspaniałego działania. 1 flakon K 3·—. Dyskretna wysyłka za pobraniem lub nadesłaniem należytości.

**Kosmetyczne preparaty dra A. Rixa**

**Wiedeń IX. Lakiergasse 6/F.**

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 35. K. Miklaszewski, plac Dominikański. Komorowskiego, Floryańska 33. Beckner, Długa 4. **We Lwowie:** Apteka Rucker, ul. Krakowska, apteka Rafaela, ul. Gołuchowskiego. Perfumerya Sładowskiego. **Tarnów:** Droguerya Bracha. **W Bielsku:** Drog. Połaczka, ul. Kolejowa. **Lublin:** Perfumerya Stankiewicza. **W Białej:** Drog. Tanewski.

## Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych

## Najmniejsza

książeczka do nabożeństwa p. t.: „Książeczka miniaturowa“ (5/7 ctm.). Prześliczne wydanie, wyborowa treść dla intelligencyi, elegancka oprawa. Po otrzymaniu K 3·96 wysyła franco Księgarnia katolicka **dra Władysława Miłkowskiego** w Krakowie, ul. Floryańska 1. Taż sama książeczka, oprawna w miękką cielęcą skórkę kor. 5·96 z przesyłką.

## Klisze cynkowe i fotografie

**z każdego numeru odsprzedaje**

## Administracya Nowości illustrowan.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.